MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 10. WARSZAWA, 22 LUTEGO 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

SIŁA PACYFIKACYJNA PIENIĄDZA

Na PRZEBIEG sprawy, wywołanej w Radzie Ligi skargami niemieckiemi na Polskę, wpłynął w dużym stopniu fakt porozumienia między Francją a Anglją. Porozumienie to zaś, wyrażające się w poparciu stanowiska francuskiego przez Anglję, zostało osiągnięte dzięki usłużności pieniądza francuskiego.

Ten fakt jest wysoce znamienny dla czasów obecnych. W polityce międzynarodowej rola pieniądza jest dziś bardzo brana w rachubę, na wynikach jego oddziaływania buduje się całe plany polityczne. Pieniądzowi przypisuje się wielką siłę pacyfikacyjną.

Z pośród państw europejskich największe zasoby pieniężne posiada dziś Francja, zarówno skarb państwa, jak obywatele. Jest rzeczą naturalną, że przyszła do głowy politykom myśl zużytkowania potęgi, zawartej w miljardach, spoczywających w Banku Francuskim i na rachunkach prywatnych kapitalistów, dla celów politycznych. A to tembardziej, gdy wszystkie kraje starego kontynentu odczuwają brak kapitału i przechodzą ciężki kryzys gospodarczy. Nic też dziwnego, że uświadomili sobie swoją potęgę posiadacze kapitału — międzynarodowe sfery finansowe. Bo dlaczegóżby w dziszejszej, biedniejącej coraz bardziej Europie pieniądz nie miał zająć stanowiska panującego, dlaczegóżby głos jego posiadaczy nie miał rozkazywać i decydować?

Niemcy wysuwają z coraz większą natarczywością żądanie rewizji postanowień terytorjalnych Traktatu Wersalskiego. Włochy stawiają coraz nowe trudności polityce francuskiej. Państwa Europy środkowo-wschodniej mają coraz większe kłopoty gospodarcze i polityczne. Kraje rolnicze przechodzą ciężki kryzys... Możeby tak prąd złota, wpuszczony w gospodarkę tych krajów, uspokoił jednych i zrobił ich skłonniejszymi do moderacji, a wzmocnił innych, będących w coraz większej opresji?

Zbyt wielkie zapasy złota są, jak się okazało, powodem zaburzeń finansowych i gospodarczych, podobnie jak brak tego cennego metalu. Francja jest przesycona złotem. Dla jej zdrowia gospodarczego jest rzeczą konieczną puszczenie tego złota w obieg. Jedni radzą bicie złotej monety obiegowej, inni wielkie pożyczki zewnętrzne.

Wiemy o rokowaniach, jakie się toczą o pożyczki dla Rumunji i Polski (kolej Śląsk—Gdynia). Dowiadujemy się obecnie o krótkoterminowej pożyczce dla Niemiec, której trzecią część (blisko 300 miljonów franków) ma pokryć grupa banków francuskich. We Francji odbywa się z powodu tej pożyczki ostra polemika prasowa, zajmie się tem zagadnieniem pewnie parlament. Uzasadnienie polityczne pożyczki streszcza jeden z dzienników francuskich w sposób następujący: „ażeby uniknąć wojny i rewolucji, co zresztą jest jedno i to samo, ażeby zbawić Europę i świat cywilizowany, byłoby już nietylko rzeczą wspaniałomyślną, lecz przedewszystkiem mądrą, gdyby Francja przyszła z pomocą krajom cierpiącym naskutek bezrobocia i braku pieniędzy. Francja ma duże zasoby do rozporządzenia. Posiada ona nawet nadmiar złota. Polityka kredytowa byłaby zastosowaniem płodnej za-

sady postępowania w myśl dobrze rozumianego interesu".

Kapitały francuskie, wpływając do gospodarstwa niemieckiego, powstrzymywałyby pochód bolszewizmu i hitleryzmu w Niemczech, uzależniałyby Niemcy od Francji i łagodziłyby ich dążenia rewizjonistyczne! Są tacy, którzy sądzą, że ta interwencja kapitałów obcych w Niemczech jest najpewniejszą gwarancją i dla Polski.

Trzeba stwierdzić, że istotnie kierownicy polityki niemieckiej przemawiają w ostatnich czasach z większą rezerwą. Ostatnia mowa kanclerza Brueninga w *Reichstag*'u była ułożona w sposób taki, by zrobiła dobre wrażenie nazewnątrz. Rozprawy o sprawach zagranicznych nie przyniosły krzykliwych oświadczeń i daleko idących żądań. Z pewnością jest to wszystko następstwem, toczących się równocześnie, rozmów na temat pożyczki. Nie można tedy odmówić pieniądzowi właściwości pacyfikacyjnych?!

I wszystko byłoby w porządku, gdyby chodziło li tylko o chwilę obecną. Całe to zagadnienie ukazuje się nam w innem świetle, gdy wprowadzimy do rozumowania czynnik czasu i gdy rozważymy w związku z tem doświadczenia zaczerpnięte ze stosunków prywatnych. Poszukujący pożyczki jest uprzejmy i skromny, wierzyciel, od którego się zwrotu domagamy, jest często nieprzyjemny. Któż nie wie, że często najlepszym sposobem zrobienia sobie nieprzyjaciela jest pożyczyć komuś pieniądze. W stosunkach międzynarodowych sprawy te komplikują się jeszcze przez to, że dopływ pieniądza wzmacnia państwo, a przez to samo robi je mniej uległem.

W stosunkach francusko-niemieckich od czasu ukończenia wojny praktykowany jest stale pewien system, który, bez cienia złości zresztą, można nazwać szantażem. Niemcy domagają się ciągle ustępstw, grożąc tem, że gdy tych ustępstw nie otrzymają, to władza wpadnie w ręce skrajnych nacjonalistów lub zapanuje bolszewizm. Gdy zaś ustępstwa te uzyskają, wówczas korzystają z nich, by się wzmocnić wewnętrznie i wystąpić z nowemi, większemi żądaniami... i tak dalej, wciąż w kółko. Obecnie odbywa się ta gra w dziedzinie pieniężnej.

Zwróciliśmy już uwagę na to, że w pewnych okolicznościach pieniądz może posiadać właściwości pacyfikacyjne, lecz sądzimy, że popełnia błąd ten, kto zbyt wielkie nadzieje wiąże z zastosowaniem tej metody.

Pieniądz, napływając do jakiegoś kraju, nietylko wzmacnia jego siły gospodarcze, a więc i siły polityczne; może on iść i bezpośrednio na zbrojenia i, tembardziej, zwalniać kapitały, które na zbrojenia mają być obrócone. Jest jednak rzecz o wiele ważniejsza: mimo wagi czynników gospodarczych w dzisiejszej Europie, mimo wpływu, jaki życie gospodarcze posiada dziś na życie polityczne narodu, w momentach wielkiego napięcia, w momentach decydujących względy polityczne rozstrzygają. I dlatego sądzimy, że jest złudzeniem przesadzanie wpływu pieniądza i wpływu tych, którzy tym pieniądzem dysponują, na bieg historji wogóle i na pacyfikację Europy współczesnej w szczególności. Pieniądz w rękach polityki jest cennem i daleko sięgającem narzędziem, lecz narzędziem tylko, a nie siłą decydującą.

Zabezpieczenia pokoju oraz zabezpieczenia całości i niezależności państw trzeba szukać przedewszystkiem na płaszczyźnie politycznej. Złożenie całego zaufania w pieniądzu, poleganie na tem, że kapitał międzynarodowy uchroni naprzykład Polskę od wszelkich niebezpieczeństw — o czem tu i owdzie się mówi — byłoby ciężkim i groźnym błędem. Trzeba brać w rachubę i ten czynnik — pieniądz, lecz wytrwale i kosekwentnie organizować obronę na terenie politycznym. Nic nas od tego zwolnić nie może, nic tego nie zastąpi.

STANISŁAW KOZICKI

PAMIĘTNIKI BÜLOWA

OGŁOSZONE dotychczas dwa grube tomy „Pamiętników" ks. Bernarda Bülowa, wszechpotężnego kanclerza Rzeszy za panowania Wilhelma II, zawierają bogatą treść, ujętą w żywe i dowcipne opowiadanie starego światowca. Z nieustającem zajęciem czyta się te karty, pełne faktów ważkich, oświetlonych tendencyjnie przez najchytrzejszego i najwybitniejszego z niemieckich mężów stanu po Bismarcku. Rzeczą historyków będzie stwierdzić prawdziwość wywodów Bülowa oraz wartość dokumentów przezeń przytoczonych, ale już jako pierwszy efekt lektury jego dzieła pozostaje wrażenie, iż stary ex-kanclerz, mieszkając u schyłku życia w Rzymie, w prześlicznie położonej „Villa Malta", spisywał swe „Pamiętniki" przedewszystkiem *„pro domo sua"*, dla obrony własnej.

Bülow był człowiekiem niepospolitej kultury umysłowej, był erudytą, przynajmniej w tem znaczeniu, że pamiętał i wplótł w swe opowiadanie setki anegdot dyplomatycznych (szczególnie francuskich) oraz cytatów z różnych literatur europejskich, zwłaszcza z łacińskiej, niemieckiej i angielskiej. Niedarmo w „Pamiętnikach" przyjął jakby metodę „Don Juana", w którym Byron gnębi swych wrogów osobistych w ciągłych dygresjach. Dzieło Bülowa — oprócz sensu politycznego i historycznego, posiada sporą dozę liryki, autor odbiega co chwila od przedmiotu, by zganić i wyszydzić przeciwnika lub wygłosić mowę pochwalną na cześć osoby bliskiej i przyjacielskiej. Ten charakter retoryczno-gawędziarski, mocny ton uczuciowy, brzmiący od pierwszej do ostatniej strony, wlewa w nie strumień życia i artyzmu. Znać, że Bülow był zna-

komitym oratorem i gorącym Prusakiem. Zdolności deskrypcyjne autora występują zwłaszcza w sylwetkach monarchów i ministrów, generałów i ambasadorów, malowanych przezeń ręką niezawodną. Pod tym względem talent Bülowa nasuwa porównanie z artystycznemi szkicami Romana Dmowskiego w „Polityce Polskiej".

Na pierwszy plan wysuwa się oczywiście postać ostatniego Hohenzollerna na cesarskim tronie niemieckim. Kanclerz z lubością snycerza rzeźbi ruchliwą i kapryśną aż do błazeństwa figurę Wilhelma II. Przedstawia swego imperatora jako przedziwną mieszaninę niepoślednich uzdolnień i dziecinnej naiwności; fantastycznego sentymentalizmu, serdecznej dobroci i wyrafinowanego, niemal patologicznego zamiłowania w kłamstwie; pychy i zarozumialstwa nieskończonego, w połączeniu ze szczerą, poczciwą naturalnością i urokiem osobistym. Ekscentryczność, lekkomyślność, niepoczytalność, skłonność do przesady, hałaśliwości i fanfaronady; ogromna miłość własna, powierzchowność sądów, zmienność usposobienia a przedewszystkiem zupełny brak taktu i wrodzonej delikatności czyniły Wilhelma nieznośnym na dworach zagranicznych i wobec własnych poddanych. Stary wyga, który pół życia strawił w dyplomacji we wszystkich niemal stolicach europejskich, kpi często z Wilhelma w sposób pełen pozornej rewerencji dla monarchy. Z wielką powagą zapewnia, iż w rozmowach z innymi mężami stanu, którzy twierdzili, że cesarz jest warjatem, przeczył temu, dowodząc, że jest on tylko neurastenikiem w najwyższym stopniu. A już z opisu poszczególnych postępków i powiedzeń Wilhelma wypływa najczęściej dyskretna suggestja, że cesarz pomimo swych męskich, buńczucznych i wojowniczych pozorów — był kretynem, histerykiem i tchórzem.

Bülow przedstawia siebie, w stosunku do Wilhelma, jako wiernego poddanego, który wszakże zachowuje zawsze poczucie godności osobistej i niezależność sądu; przedstawia siebie jako rozważnego doradcę, wytrawnego pedagoga wobec rozhukanego cesarza, wreszcie jako wyrozumiałego protektora w najcięższych dniach listopada 1908, kiedy Wilhelm, skompromitowawszy się słynnym artykułem w *„Daily Telegraph"*, chciał abdykować.

Opinje Bülowa o cesarzu i jego dworakach wywołały w Niemczech silne echo w kołach monarchistycznych, posypały się artykuły i rekryminacje, sam Wilhelm zabrał głos pośrednio w *„Münchener Neuste Nachrichten"*. Cesarz oddał do druku listy, pisane doń przez Bülowa, które mają podobno przeczyć wywodom kanclerza.

Karjera Bülowa toczyła się szybko i sławnie. Po ukończeniu studjów uniwersyteckich, mając lat dwadzieścia cztery wstąpił do Min. Spr. Zagr., na którego czele stał wówczas jego ojciec jako sekretarz stanu. Przebywszy dwadzieścia lat na placówkach dyplomatycznych w Paryżu, Bukareszcie, Rzymie i t. d. został ministrem spraw zagran. w r. 1897, w gabinecie starego ks. Hohenlohe, który zostawił mu zupełną swobodę działania. W 3 lata później, po ustąpieniu Hohenlohego, Wilhelm II zamianował Bülowa kanclerzem i dopiero w r. 1909 przyjął jego dymisję. Przez dwanaście lat polityka zagraniczna cesarstwa spoczywała w rękach człowieka, który w nader poważnych sytuacjach międzynarodowych potrafił parokrotnie uniknąć konfliktów zbrojnych, a równocześnie narzucić Europie swoją wolę. Inna sprawa, iż niechęć do Niemiec wzrosła przez to zapewne w całym świecie i wydała rezultaty w kilka lat później, gdy polityka Rzeszy znalazła się w rękach mniej zręcznych i wykrętnych. Broniąc zaciekle swoich zasług, Bülow stwierdza ciągle, iż polityka jego była nawskroś pokojowa. Pomimo swej inteligencji nie dostrzega lub nie chce dostrzec faktu, iż prowadząc politykę Niemiec w sposób wybitnie imperjalistyczny (Karoliny, Kiau-Czau), niekiedy prowokacyjny (Marokko, sprawa Delcassé'go, poparcie udzielone Austrji przy aneksji Bośni i Hercogowiny), że popierając budowę potężnej floty rzekomo tylko dla ochrony ogromnego handlu cesarstwa — prowadził niechybnie do wojny. Bülow broni ustawicznie tezy, iż gdyby był mógł pozostać dłużej przy władzy, nigdy nie doszłoby do wojny. Całą winę jej wybuchu i katastrofy państwa przypisuje głupocie i niezręczności swego następcy, Bethmanna-Hollwega i jego współpracowników oraz—lekkomyślnej gwałtowności Austro-Węgier. Wydaje nam się to dowodzenie zbyt uproszczone. Ex-kanclerz, mówiąc często o zazdrości, jaką budziła w Europie wzrastająca przemożnie potęga Rzeszy, nie widzi prawdy, iż nadmierny rozwój Niemiec zniszczył równowagę europejską; nie chce uznać, iż on sam w znacznej mierze przyczynił się do utrwalenia w opinji powszechnej sądu, iż Niemcy ciążą zbyt silnie na szali polityki światowej.

Pomimo całego uwielbienia dla Bismarcka, Bülow widzi jego błędy — swoich nie uznaje prawie nigdy, chyba, że idzie o kwestje personalne, o niefortunne obsadzenie jakiejś placówki zagranicznej lub ministerstwa. Bismarckowi wytyka, iż zabierając Alzację i Lotaryngję nie docenił patrjotyzmu Francuzów, licząc na to, iż oni zapomną o Metzu i Strassburgu i nie skorzystają ze sposobności odebrania anektowanych prowincyj. A sam? W sprawie Marokka zajął takie stanowisko, iż spowodował klęskę moralną Francji i upadek Delcassé'go, co oddziałało piorunująco właśnie na ów patrjotyzm francuski, który rzekomo umiał ocenić lepiej, niż Bismarck.

Zapatrzony w interes Niemiec, nie potrafił dostrzedz należycie interesów cudzych, nawet własnych sprzymierzeńców.

Prasa włoska słusznie wytyka obecnie Bülowowi niezrozumienie faktu, że Włochy już przed wojną światową nie miały właściwie żadnej korzyści z trójprzymierza, że Bülow nie chciał się zgodzić na żadne ustępstwa. Zmiękł dopiero w r. 1915 (jako ambasador Niemiec we Włoszech), gdy Italja zawarła już traktat londyński, obiecujący jej bez porównania większe zdobycze, niż to, co im ofiarowywały niechętnie państwa centralne za współudział w wojnie.

W stosunku do Polski jest Bülow głównym po Bismarcku, typowym reprezentantem szowinistycznej polityki eksterminacyjnej. On to przeprowadził prawo o wywłaszczeniu, za jego rządów była Września, którą nazywa „nic nieznaczącym incydentem"; zwalcza oczywiście działalność Korfantego, rozumiejąc wybornie jej doniosłość. Z pełną świadomością i naciskiem podkreśla fakt, że kwestja Polski była spójnią najsilniejszą, łączącą Prusy-Niemcy z Rosją carską. Ciężkie wyrzuty robi Bülow swemu następcy, Bethmannowi za to, iż „wskrzesił Polskę".

Całość dzieła ex-kanclerza, zmarłego dwa lata temu w Rzymie, podzielono w sposób następujący: T. I. Od nominacji na sekretarza stanu do kryzysu

marokańskiego (1897 — 1903), T. II. Od kryzysu marokańskiego do dymisji kanclerza (1903 — 1909), T. III. Wojna światowa i katastrofa (1909 — 1920), T. IV. Wspomnienia z młodości i z dyplomacji (1849 — 1897).

Poszczególne tomy „Pamiętników“ ukazują się rkwnocześnie w kilku językach. Przekład włoski, który mam przed sobą, wydany bardzo starannie, z ilustracjami, przez Mondadoriego (w Weronie), wykonał poprawnie L. Emery.

Do literatury pamiętnikarskiej, tak bujnie rozrosłej po wojnie światowej, przybywa nowe dzieło, wybitne i ciekawe.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

UWAGI O AKTUALNYM „KSIĘCIU“

(Z POWODU KSIĄŻKI P. A. CHRZĄSZCZEWSKIEGO)

NIEMA w polskiej literaturze politycznej zwyczaju chwalenia książek, wydanych przez ludzi innych przekonań. Jeżeli wyłamujemy się z tej zasady, to w poczuciu tak silnych podstaw naszego ruchu, że oświetlenie go reflektorem krytyki przyniesie jedynie korzyść, nie szkodę. Rzadko zresztą spotkać można studjum polityczne, pisane bez jadu nienawiści, jeśli więc takie się znajdzie, należy, chwytając okazję, przestudjować je sumiennie.

Książka p. Aleksandra Chrząszczewskiego „Od sejmowładztwa do dyktatury“ [1]) pisana jest z dużą przenikliwością i bez uprzedzeń. Jako taka stanowi ciekawą analizę współczesnych wypadków politycznych, a oświetlając chwilę dziejową z innego, niż zazwyczaj, stanowiska, spełnia pożyteczne zadanie rozpraszania wielu uswięconych i zakorzenionych przesądów. Twierdzimy to, choć nie zgadzamy się z autorem ani co do podstawowych założeń, ani co do ostatecznych wniosków, uważamy bowiem, że w dzisiejszej sytuacji każda książka uczciwie i odważnie pisana, o ile stoi na odpowiednim poziomie i wnosi coś nowego do dyskusji, powoduje pożądane poruszenie umysłów, twórczą dyskusję i polemikę, zarówno swemi prawdziwemi, jak i fałszywemi tezami.

Książka p. Chrząszczewskiego zajmuje się na wstępie ogólnem zagadnieniem kryzysu parlamentaryzmu (rozdziały: Neoliberalizm, Obrońcy parlamentaryzmu, Idee rewolucji francuskiej i obecna przeciw nim reakcja), dochodząc do syntezy w rozdziale IV (istotna przyczyna kryzysu ustrojowego). Dwa dalsze omawiają tendencje polityczne rządzącego parlamentu i jako jego przeciwstawienia jednostkowej dyktatury. Są to bardzo ciekawe ustępy, zwłaszcza drugi, w którym autor z dużym zapasem erudycji przedstawia styczne i rozbieżne cechy dyktatury Napoleona I (pominięty zaś trzeci, ze szkodą dla wszechstronności oświetlenia), faszystowskiej, jugosłowiańskiej i hiszpańskiej. Trzy ostatnie rozdziały książki omawiają sprawy polskie (warstwy posiadające w Polsce a zagadnienie ustrojowe, Piłsudcyzm, Dokąd idziemy). Zajmiemy się kolejno tezami p. Chrząszczewskiego, wprzód jednak musimy zorjentować czytelnika w zasadniczym stosunku autora do polityki.

We wstępie „Do czytelnika“ podaje p. Chrząszczewski podstawowe założenia, z których, jak mówi, wychodzić będzie przy całem późniejszem rozumowaniu: 1) Każdy człowiek ma skłonność do utożsamiania swojego własnego dobra z dobrem swojej partji, a dobro partji z dobrem narodu; 2) Każde stronnictwo i każda grupa polityczna dąży do władzy w przekonaniu, że jedynie jej rządy mogą wybawić państwo z wszelkich trudności, a po jej opanowaniu, w jednakowym mniejwięcej stopniu, wyzyskuje ją dla swoich partyjnych celów, 3) każda jednostka polityczna, stojąca u steru, jest przekonana o swojej niezbędności dla państwa.

Powyższe, niepochlebne dla działaczy politycznych poglądy autora wypływają z jego skrajnie pesymistycznego poglądu na człowieka. Cytując Georges Valois, Macchiavellego, Mussoliniego, Le Dantec'a, twierdzi on, że „naogół ludzie są fałszywi, niewdzięczni, tchórzliwi, chciwi... nigdy nie czynią dobrze, jeśli nie popycha ich do tego konieczność“ (Macchiav.) a dalej: „Jedynym danym człowiekowi przez naturę motywem wszelkich działań ludzkich jest egoizm, inaczej instynkt konserwacji“ (Le Dantec), który, dodaje p. Chrząszczewski, człowiek pod wpływem rozwoju cywilizacyjnego ubiera w szaty różnych altruizmów (str. 41). A o kilka stron dalej cytuje autor złote myśli p. Moraczewskiego: „Polityka polega na oszustwie“ oraz p. Piłsudskiego: „Polityka polega na suggestji i jest fałszywą grą“, poczem twierdzi: „Każdy, kto zajmował się badaniem historji, wie o tem, jak wiele prawdy zawiera to powiedzenie, które wzbudziło wielkie oburzenie u ludzi politycznie naiwnych“. P. Chrząszczewski twierdzi, iż pesymistyczny pogląd na człowieka, to „prawdy o których ksiądz dawno mówił na ambonie“, a kto się nań nie zgadza, ten (razem z obozem narodowym w Polsce) jest wyznawcą złudzeń Rousseau o dobroci natury ludzkiej. Sądzimy, iż rozumowanie to jest nietrafne i nieprecyzyjne. Nauka katolicka, do której coraz bardziej żywiołowo garnie się nawet myśl ludzi niewierzących, przeciwstawia się złudzeniom Rousseau, ale nie wpada w drugą skrajność, przeciwnie, uważa, że dusza ludzka składa się z mieszaniny pierwiastków złych i dobrych, co więcej, że pierwiastki dobre mogą zdobyć potencjalną przewagę, jak tego uczy teza o sprawiedliwych poganach, którzy bez łaski Chrztu doszli jednak do dobra, kierując się moralnością naturalną. Pogląd pesymityczny wywodzi się nie z nauki Kościoła, lecz całkiem skąd inąd. Był on podstawą doktryny Lutra, akcentującego beznadziejne skorrumpowanie duszy ludzkiej przez grzech pierworodny, z którego niema wyjścia bez „przerzucenia swych grzechów na Chrystusa [1])“.

[1]) Aleksander Chrząszczewski: „Od sejmowładztwa do dyktatury“ Studjum polityczno-porównawcze. Skład główny: Dom Książki Polskiej Sp. Akc. Warszawa, 1930.

[1]) „*Peccandum est* — mówi Lutor — *quamdiu sic sumus; vita haec non est habitatio iustitiae, sed expectamus, ait Petrus, caelos novos et terram novam, in quibus iustitia habitat. Sufficit, quod agnovimus per divitias gloriae Dei agnum, qui tollit peccata mundi*“.

A dalej: nie masz grzechów, choć grzeszysz, lecz grzechy twoje się przenoszą na Chrystusa. *Peccata sua iam non sua, sed Christi sunt*“. Cytuję za Jacques Maritain: „*Trois Réformateurs*“, *Paris* 1925.

Jest to również pogląd Hobbesa, o którym mówi prof. Tatarkiewicz: „Występował przeciwko tradycyjnej od Arystotelesa tezie, że człowiek z natury jest istotą społeczną. Przeciwnie, z natury i instynktu, każdy zajmuje się wyłącznie własnemi sprawami, każdy kocha jedynie siebie, każdy jest egoistą, jedynym celem jest zachowanie samego siebie, jedynem dobrem jest własne dobro. Każda rzecz jest dobra, jeśli służy celom jednostki, a jednocześnie może być zła dla innej jednostki, z której interesami jest w niezgodzie... Więc też każdy z natury rzeczy usiłuje wszystko, czego domaga się jego egoizm, osiągnąć dla siebie i, jeśli trzeba, wywalczyć. Niema ani prac, ani obowiązków, któreby go ograniczały; ile wywalczy, zależy tylko od jego sił. Stąd *status naturalis* człowieka: walka wszystkich przeciwko wszystkim. *Homo homini lupus*". Także w poglądach p. Chrząszczewskiego na państwo widać jeśli nie świadome tezy, to przynajmniej tendencje Hobbesowskiej doktryny.

Sumienność każe nam stwierdzić, że autor „Od sejmowładztwa do dyktatury" nie jest cynicznym chwalcą nieprawości. Tak być nie powinno— mówi — ale tak jest. To też zaznaczywszy swą tęsknotę za moralnością, wyłącza ją ze swych rozważań analitycznych. Ten amoralizm jest wybitnem echem Macchiavellego. Sekretarz *signorii* florenckiej też wolałby zapewne, aby ludzie byli lepsi, ale w to nie wierzył, zrażony — zdaje się — niepowodzeniem swej patrjotycznej akcji w latach 1498—1512. Dlatego też pozwoliliśmy sobie nazwać pracę p. Ch. aktualnym „Księciem", choć nie przypisujemy jej oczywiście tego znaczenia, jakie osiągnęło genjalne „*Il Principe*".

Podobieństwo p. Chrząszczewskiego z Macchiavellim odnaleść można w innej jeszcze dziedzinie. Obaj są przedstawicielami tego rodzaju polityki, którą nazywamy powszechnie gabinetową. Jest to polityka Lubeckiego, Czartoryskiego, Wielopolskiego, skarykaturowana przez Stańczyków i realistów. Autor omawianej pracy stoi wyżej od obecnego zwłaszcza pokolenia: tych pigmejów — epigonów mądrości Hotelu Lambert, dociąga raczej częściowo do ich wzorów. Metody gabinetowe, połączone z erudycją, dają mu dużo swoistej mądrości politycznej, dzięki której książka jego oświetla, nieraz niespodziewanie, nierzadko trafnie, a zawsze ciekawie położenie polityczne, zarówno nasze, jak i innych państw europejskich.

Brak jej natomiast tego, cobyśmy nazwali szerokim oddechem. Autor nie zna społeczeństwa żywego, argumenty swoje czerpie z literatury: z dzieł filozoficznych, historycznych, ekonomicznych, statystycznych. Nie może powiedzieć za Dmowskim, że „czerpał więcej z tego, co widział, niż z tego co czytał", bo choć czytał z pewnością nie więcej, ale zato o wiele mniej widział. Ale porównywanie działacza politycznego tej miary i rozległości horyzontu, co Dmowski, działacza, który stał *in medias res* polityki światowej i *magna pars fuit* wykluwającej się po wojnie nowej Europy, z p. Chrząszczewskim, ziemianinem, ex-urzędnikiem kancelarji cywilnej Prezydenta Wojciechowskiego, byłoby zbytniem ułatwieniem sobie krytyki omawianej książki, która *toute distance réservée* posiada niepoślednie walory [2]).

Nawet ów, prowadzący do amoralizmu pesymizm, chociaż niesłuszny, może być cenną odtrutką na niczem nieusprawiedliwioną, zbyt optymistyczną wiarę niektórych narodowców, dla których zło „musi się skończyć", bo jest złem, a dobra sprawa ma zwyciężyć dlatego tylko, że jest dobra.

Dla p. Chrząszczewskiego jest przeciwnie. Choć jest monarchistą, nie ma wielkich nadziei na monarchję w Polsce. Sceptycznie patrzy na przyszłość kraju naszego i na trjumf tego, co uważa dla Polski za dobre. Pozatem posiada oryginalny stosunek do ideologji — zewnętrzny. Powód, jak sądzić można, leży nietylko w tendencji objektywnej jego książki, lecz i w metodzie myślenia. W jego przedstawieniu ideologje są jak barwne kulki [3]), jedne mniej, inne więcej przydatne do celu, ale o niezbyt zasadniczej różnicy substancjalnej. Tem niemniej na wstępie deklaruje swe poglądy polityczne.

Poglądy to zbliżone, a jak sądzimy, i powstałe pod wpływem Emila Fagueta. Jak ów dowcipny, bystry i paradoksalny, choć niezbyt głęboki autor „Liberalizmu", tak i p. Chrząszczewski zwalcza nowoczesną demokrację w imię Deklaracji praw człowieka i obywatela, Russa w imię Monteskjusza, parlamentaryzm w imię liberalizmu. Nie przychodzi autorowi na myśl, że dzisiejszy kryzys parlamentaryzmu leży głębiej, że jest kryzysem cywilizacji europejskiej, że może znienawidzony Rousseau i uwielbiany Montesquieu mieli wspólne rysy, a przyczyny kryzysu dzisiejszego odnaleść można nie w XVIII a już w XVI wieku. Nie jest tu jednak miejsce na tę ciekawą i pożyteczną dyskusję. Uczynimy to może innym razem.

Idąc za Faguetem oskarża p. Ch. nowoczesną demokrację parlamentarną o despotyzm i etatyzm, o bezlitosne gnębienie (zwłaszcza gospodarcze) jednostki izolowanej i bezradnej, łudzonej pozorami wolności, jak swobodą wyboru takiej czy innej gazety i takiej czy innej kartki do głosowania. W krytyce tej jest dużo racji. Istotnie, parlament rządzący to despota, w dodatku despota bez logiki i systemu. Pytanie tylko, czy każda dyktatura stanowi na to lekarstwo. Autor, gromiąc Rousseau i socjalizm za tezę, że „przyczyny niedoskonałości warunków bytu społecznego nie upatrywał w niedoskonałości natury ludzkiej, lecz w instytucjach państwowych", sam wpada jedną nogą w analogiczny błąd i odmawia racji horacjuszowemu: „*Quid leges sine moribus*". A przecież przedewszystkiem w przemianach duchowych tkwi możność uzdrowienia politycznego. W Rosji carskiej nie było do 1905 r. parlamentarnego ustroju, a jednak kryzys był powszechny: kryzys idej, poglądów, moralności. W Polsce nawet przy dalekiej od doskonałości Konstytucji 17 marca rozwój poszedłby w kierunku zupełnie dobrym dla przyszłości państwa, gdyby nie obecność „mniejszości", dających stałe oparcie radykalizmowi i rozgrabianiu skarbu. Oczywiście łatwiej zmienić ustrój, niż usunąć lub spolszczyć ludność obcoplemienną, ale nam chodzi

---

[2]) Wystarczy ją porównać z usilnie reklamowaną w prasie sanacyjnej broszurą p. Władysława Ludwika Everta pt. „Poza frazesem i demagogją", która, jakby na przekór nazwie, przedstawia takie chaotyczne kłębowisko demagogicznych frazesów, że aż litość bierze.

[3]) Teoretycznego wyrazu swych tendencyj szuka autor w socjologji Wilfreda Pareta, przedstawiając jej tezy w następujących słowach: „wszelkie idee są tylko przysłonami dla irracjonalnej, bo poruszanej sentymentem, woli grup społecznych, dążących do opanowania władzy". A dalej „Irracjonalną wolą i impulsem nacjonalistycznego ruchu jest poczucie narodowo-etnicznej wyłączności". Czy nie prościej prowiedzieć: instykt narodowy?

tu tylko o wskazanie, że zło leży często głębiej, niż się zdaje, bo w strukturze socjalnej, narodowościowej lub nawet w błędnym rozwoju dziejowym czy gospodarczym. Tak więc nie należy w zmianie ustroju pokładać zbytnich nadziei.

Pan A. Chrząszczewski polemizuje na temat kryzysu parlamentaryzmu z dwoma jego obrońcami: posłem Niedziałkowskim i senatorem B. Koskowskim. Polemizuje nagół zwycięsko. Optymizm np. p. Koskowskiego w stosunku do rządów przedmajowych jest, zdaniem naszem, niesłuszny. Z drugiej strony trzeba jednak powiedzieć, że zamach majowy przyszedł w chwili, gdy sejm, mimo swej niezdrowej i nienormalnej pozycji wszechwładnego pana, zaczął pod wpływem bolesnych nauk losu przychodzić do przytomności i dojrzewać moralnie. Dowodzą tego trzy kolejne próby stworzenia rządu prawicowego. W 1922 był to luźny zlepek sprzecznych tendencyj, który skonał przed narodzeniem, w 1923 była to już większość, oparta na pewnych wspólnych zasadach, zbyt jednak jeszcze luźnych i nieskoordynowanych, aby móc utrzymać władzę w trudnych warunkach, w 1926 wreszcie był to dość mocno scementowany zespół, daleki od doskonałości, ale posiadający wielkie szanse zapewnienia Polsce kilku lat spokoju politycznego i gospodarczego. I dlatego właśnie, że szanse te istniały, że przed narodową demokracją stanęła po raz pierwszy możliwość nie tylko „ratowania", jak dotąd, lecz i stworzenia takich faktów, którehy utrwaliły jej panowanie w opinji, nastąpił zamach majowy. Nie był on też wymierzony w parlamentaryzm, a jedynie w obóz narodowy, co wyraźnie zaznaczała prasa sanacyjna, co również faktami stwierdzały rządy p. Bartla. Dopiero zwycięstwo t. zw. grupy pułkowników, źle się czujących na arenie parlamentarnej i przywykłych raczej do absolutyzmu, panującego w dawnych bojówkach P.P.S., zamieniło Szawłów w pseudo-Pawłów. Że poza temi tendencjami pułkownikowskiemi główną rolę w przesuwaniu się na prawo odegrały momenty taktyczne, a mianowicie polityka tak zwanego „okrążania endecji", tego dowodem, że pomimo Nieświeża i Dzikowa, kierunek pracy i polityka personalna rządu są mocno radykalne. Niewykonywanie bezprzedmiotowej dzisiaj reformy rolnej, którejby nie wykonał i rząd centrolewu, nie równoważy etatyzmu w polityce gospodarczej oraz dalszego „rozbudowywania" systemu ubezpieczeń społecznych, popierania radykalnego odłamu nauczycielstwa, sekciarstwa religijnego, ba, nawet hodowania własnego, rządowego socjalizmu. Niema tu żadnej analogji z Mussolinim, bo gdy ten wyparł się swej całej przeszłości, u nas „sanacja" odwołuje się wciąż do wspomnień 1905 roku, a p. Kaden-Bandrowski w „Czarnych Skrzydłach" maluje ponuremi barwami los górnika, ofiary baronów węglowych i przemysłowych, czyli tegoż p. Kadena towarzyszy z „jedynki..."

Tak więc nie bankructwo parlamentaryzmu wywołało przewrót majowy. Rzecz inna, że nawet ten dojrzalszy, na skutek lekcji życiowej, sejm polski posiadał nieuleczalne wady rządzącego parlamentu. Autor trafnie ujmuje te wady, a przytoczywszy krzyczące przykłady z praktyki polskiej, włoskiej, francuskiej, konkluduje: „Oczywiście, że tutaj nie będziemy wskazywali na praktyki naszej faktycznej dyktatury, jako na wzór postępowania dla Włoch i Francji! Naszym celem nie jest dowiedzenie, że każda dyktatura musi sprowadzić nieodzownie poprawę stosunków, lecz tylko wykazanie, że ponieważ powyższe praktyki wynikają z natury parlamentaryzmu, więc tylko rządy od parlamentu niezależne mogą im zaradzić". „M o g ą, ale nie m u s z ą", gdyż istotny jest nie tylko stosunek prawny władzy wykonawczej do ustawodawczej, ale i skład personalny oraz linja polityczna rządu.

Abstrahując od tego, musimy autorowi przyznać rację, gdy domaga się ścisłego rozgraniczenia władz według formuły Monteskjusza. Istotną funkcją parlamentu jest ustawodawstwo oraz kontrola budżetu, „..zasada odpowiedzialności ministrów przed parlamentem—mówi autor—nie zabezpiecza społeczeństwa przed samowolą administracji, gdyż... sejm kontroluje rząd przeważnie w zakresie o g ó l n e g o kierunku jego polityki, negliżuje zaś całą t e c h n i c z n ą stronę zarządu krajem, o ile jej nie dezorganizuje interwencjami swoich komisyj, klubów i poszczególnych członków". Uwaga to słuszna, ale przykład ją ilustrujący wprowadza inne wątpliwości: „Dlatego też obywatel może być wprawdzie zupełnie spokojny, że Prezydent Rzeczypospolitej nie wypowie wojny Francji, że Wilna nie zaprzeda Litwinom, ...ale pozostaje w zupełnej niepewności, jak się w najbliższym czasie ukształtuje jego stosunek do państwa: jakich i w jakim rozmiarze ofiar państwo od niego zażąda i czy wskutek tego nie zostanie on pozbawiony dachu nad głową, części lub całego nawet majątku". Zupełna racja! Absurdalne ustawy sejmowe, jak choćby cytowana przez autora o ochronie drobnych dzierżawców, są tego dowodem, ale czy zapewnienie co do losu Wilna lub sojuszu z Francją nie jest ważniejsze i istotniejsze od pewności, że nie będzie niespodzianek gospodarczych? Czy autorowi nie przychodziła ta myśl, gdy szukał motywów parlamentarnych skłonności obozu narodowego?

Dochodzimy do najciekawszej dla nas sprawy, do krytyki obozu narodowego.

(Dok. n.) JAN MOSDORF

PRZEŁĘCZ JANA KASPROWICZA

Z ROKU 1905 przechowałem jeden tylko list Kasprowicza i to bardzo krótki:

Londyn, 26 lipca 1905 r.

Mój drogi!

Proszę Cię — mam ratę wekslową, podpisz i wyślij pod adresem Tennera [1]) — podpisz w dwóch miejscach zakreślonych ołówkiem.

Nauczyłem się tu więcej, niż przez lat 10 w Galicji.

W tych dniach wracam do Paryża, a potem do dzieci i Lwowa.

Ściskam Cię serdecznie Twój

J a n K a s p r o w i c z

[1]) Juljusz Tenner autor „Estety żywego słowa".

1. Listów pisać nie lubił. Przynaglały go do nich terminy wekslowe. Przypominając sobie o terminie, potykał się z nim w popłochu i najczęściej chybiał, narażając się na protest. W tym wypadku zajrzał do notesu w Londynie. Skąd się tam wziął?

Należał wtedy jeszcze do redakcji „Słowa Polskiego". Korzystając jako dziennikarz z prawa bezpłatnego przejazdu koleją (I klasy) przez Austrję, wybrał się do Szwajcarji, stąd skierował się do Włoch, do Francji, wreszcie do Londynu. Finansowali taką podróż wydawcy zaliczeniami; tego roku

mógł coś dostać od Altenberga na rachunek zapowiedzianego tomu prozą („O bohaterskim koniu“), od Tow. Wydawniczego z racji nowego wydania „Krzaka dzikiej róży“, z wydawnictwa dziennika; a jeśli to zawiodło, dostało się z banku na weksel z podpisem Tennera... Wyjeżdzając w podróż, zawsze obiecywał dziennikowi fejletony, w których się podzieli z czytelnikiem wrażeniami; ale nie znałby natury Kasprowicza, ktoby te przyrzeczenia brał na serjo. On sam tak je brał, ale wykonanie przechodziło jego siły. Nie byłby tak wielkim poetą lirykiem, gdyby marnował skarby wzruszeń doznanych na literackie opisy; i nie byłby redaktorem na serjo, ktoby tego od niego wymagał.

Dość pomyśleć z powodu powyższego listu, jakie to były dwie różne osobistości: Kasprowicz w jakiemś swojem dziele sztuki i Kasprowicz taki świecki, załatwiający sprawę wekslową, piszący wogóle list, a nawet artykuł dziennikarski. Czy z takiego listu, albo z zetknięcia się osobistego w kawiarni, czy w redakcji można było zdobyć jakiekolwiek wyobrażenie o tem, co za chwilę z niego się wyłoni, gdy poczuje potrzebę tworzenia? Jest informacja o wnętrzu nawet: „Nauczyłem się tu więcej, niż przez 10 lat w Galicji“, ale o tem, czego się nauczył, też nie dowiemy się egzaminacyjnie; to się pokaże z jego dzieł następnych i to nie w postaci dydaktycznej. Wszystkie zdobycze wyrażały się w procesie dojrzewania duchowego i fizycznego.

Przedewszystkiem trzeba tu zauważyć, że w tym czasie Kasprowicz osiągnął pełnię wieku męskiego; był już na przełęczy przejrzałości — liczył lat 44. Jest to pora uspokojenia namiętności, zciszenia zmysłów, t. zw. „statkowania“. Będzie o tem mowa w związku z twórczością.

Znamienny dla tego okresu jego twórczości jest wyraz: „nauczyłem się“. Kasprowicz od r. 1904. kiedy się zdecydował na doktorat i habilitację, nastawił się na „uczenie“. Tem się też tłumaczy, że mniej wtedy tworzył. W zimie 1904, przerobił dawną rozprawę o liryce Lenartowicza na doktorską, a „Pamiętnik Literacki“ na początku 1905 r. ją ogłosił.[2]) Podróż była mu niewątpliwie potrzebna do pogłębienia i ożywienia wiedzy o twórcach na zachodzie, dla samego zresztą oswojenia się z językiem angielskim, który znał tylko z książek.[3]) Ale jeżeli chodzi o Kasprowicza poetę, to owo „uczenie się“ jest dla tych lat jego znamienne przez to samo, że mógł w tym stanie uczenia się poczuć, że mogła być mowa o zainteresowanich naukowych. Znaczyło to, że punkt ciężkości w duszy jego przenosił się z falistego żywiołu wzruszeń uczuciowych na stalszy grunt życia intelektualnego, a dalej — następowało pewne uciszenie wewnętrzne, pozwalające umysłowi szukać prawdy objektywnie. Kiedy tworzył hymny z cyklu „Ginącemu światu“, stan „uczenia się“ byłby nie do pomyślenia.

Kasprowicz w tych latach 1904 — 06 robił wrażenie człowieka, który zaczyna żyć na nowo. Nie tylko dlatego, że postanowił wejść na drogę pracy naukowej; raczej dlatego o tej drodze można było mówić, że w nim samym nastąpiła odmiana. Coś uciszał w sobie, coś wymiatał z duszy, rozglądał się jak po ciężkiej chorobie, robił z sobą porachunki trybem refleksyj. W twórczości nastąpiła dłuższa przerwa. Ostatni hymn „Salve - Regina“ wyszedł w jesieni 1902. Zamknięcie przebytego okresu, „Uczta Herodjady“ — w listopadzie 1904, poczem przerwa do kwietnia 1906, kiedy ukazał się zbiór „O bohaterskim koniu i walącym się domu“.

Bardzo ważną wskazówką biograficzną do tego okresu twórczości jest to, że w tym czasie Kasprowicz z gościa Tatr stawał się ich mieszkańcem. Oswoił się z niemi do tego stopnia, że bez nich żyć nie mógł. Będziemy o tem mieli sposobność mówić niżej.

W sumie ogólnej moment biograficzny, nasuwający się z listu 1905 r., potrzebny jest tutaj ze względu na fakty (w tym porządku): 1) pora przełomu w wieku męskim, to, co nazywamy „statkowaniem się“ systemu zmysłowego, gdy przemija kompleks zaburzeń psychicznych na tem tle, 2) pokonanie działania Tatr, jako nowości, 3) zainteresowanie życiowe i czynne zagadnieniami wiedzy objektywnej.

Wszystko to wpłynęło, że poeta zatrzymał lot w górę, spoczął w swem orlem gnieździe i począł uciszony rozglądać się, jak z przełęczy, po świecie, przedewszystkiem zaś czynić obrachunek wewnętrzny z sobą, aby się odnaleźć i w garść zebrać.

2. Przechodząc do utworów Kasprowicza z tego okresu, zapytajmy, czy są w nich ślady podróży jego z r. 1905.

Każdy ma w pamięci tematy i motywy w książce „O bohaterskim koniu“, zaczerpnięte w Paryżu i w Londynie (portal świątyni, Fragonard, Żołnierze jej królewskiej mości i t. d.) zużytkowane zaraz po powrocie z podróży. Chciałbym jednakże pokazać, jak Kasprowicz przetrawiał doznane wówczas wrażenia w liryce refleksyjnej. W poemacie „Ciche, samotne rzędy wierzb“ znajdujemy szereg etapów podróży, wydobytych skądś z głębi duszy w postaci niczem nie przypominającej dziennikarskich wrażeń turystycznych.

Opowiada Dusza poety. Spowiada się:

Syta „pieleszy ojczystych i ciżby bratniej“, wyrywa się „ku krajom cudzoziemskim“, aby odetchnąć. Oto Alpy (tak się można domyślać z obrazów). Dusza „szła gdzie przedziwne huczą wodogrzmoty“, szła ze swą raną krwawą, a stając pod lodowcami skarżyła się szczytowi, nie słyszana przez ludzi. Echa współczucia odzywały się w przestworzach jak organy, „jakby głąb daleka zmieniła w wielkie szczęście wielki ból człowieka“. Albo się pięła na skalne urwiska, zatracając „granicę pomiędzy władaniem zbawczej śmierci i żywota nędzy“.

To znów błądząc nad włoskiemi jezioram, śledząc „radosne łodzie na lazurze“, lub rwąc róże z ruin zagasłej chwały, czy ze ścian marmurowych

[2]) Ob. K. Czachowski. „Jan Kasprowicz. Próba bibljografji“. Kraków 1929, s. 33. Przy sposobności sprostuję błąd w tej bibljografji na s. 34. Odczyt „O cudownej mocy słowa“ z dn. 5.XI. 1902 r. nie był odczytem Kasprowicza. Wygłosił go tego dnia etnolog Jan Karłowicz w ratuszu lwowskim. Por. „Życie Jana Karłowicza“. Książka zbiorowa. Warszawa 1904, str. 286.

[3]) Kasprowicz, jak wiemy z jego przekładów, znał dobrze język angielski, ale porozumiewał się nim z pewną trudnością. W r. 1923, kiedy już był rektorem uniw. lwowskiego, i przybył w interesach do Warszawy, znalazł się — namówiony przezemnie—na śniadaniu ze słynnym publicystą Dillonem. Warto było widzieć i słuchać, jak bardzo Dillon interesował się tem, co mówi Kasprowicz. Był istotnie bardzo ożywiony i wesoły; mówił w zapale łatając angielszczyznę paru innemi językami; jak to mówią, „fascynował“ cudzoziemca, który przecież niejednego wybitnego człowieka widział.

willi, poznawała „rozkosz świata“. Jak sen. A jednak w tych wędrówkach nie było godziny, aby duszy nie nawiedził jakiś wyrzut i nie rozwarł się przed nią widnokrąg siny,

Za mgłą ukryty niezmierną, daleką —
Z samotnym, cichym rzędem starych wierzb nad rzeką.

Ten motyw pejzażu kujawskiego czarodziejskim refrenem wplata się, jak w muzyce, w symfonję tęskniącej duszy, rwącej się do świata. On ją ściga, a wszystkie obrazy egzotyczne, wszystkie porywające duszę obrazy wielkiej cywilizacji, są jak z mgieł, które co jakiś czas się rozsuwają, aby poecie przypomnieć smutek rodzimej rzeczywistości. Niezrównana, niespotykana w literaturze muzyka. Mickiewicz na Krymie miał podobne halucynacje, kiedy nasłuchiwał głosu z Litwy: „Nikt nie woła!“ Bo to głos własnego serca. Kasprowiczowi ten głos nie pozwala nigdzie zaznać w pełni szczęścia w zapomnieniu; a im większa radość rozkoszy, tem cięższy potem wyrzut sumienia: a te samotne, smutne wierzby!

Tak bywało i dawniej — „Nad przepaściami“ w Tatrach przed 10 laty. Gdy „duch nad mgłami zapadł w sen„ w promienny sen ekstazy“ i „wieczności ma widzenie“, przychodziła refleksja, że „do padolnych tylko niw przyrosły byt człowieka“, a wraz z nią poczucie winy „do serca się wkrada wyrzutem“. Wszystko jedno, czy zapomnienie ekstatyczne nawiedza poetę na szczycie gór, czy też na szczytach kontemplowania wielkiej cywilizacji. Prawo ciążenia do rzeczywistości rodzimej, władnące jego sercem, stawia granice lotom nadziemskim. Symbol tego prawa obrał poeta w widmie wierzb.

W dalszym „opisie podróży“ Kasprowicz złożył dowód, że jest w literaturze polskiej jednym z tych wyjątkowych poetów, którzy mają otwarte oczy nie tylko na piękno przyrody; widzą je równie wrażliwie i entuzjastycznie w świecie, tworzonym przez człowieka historycznego.

Darmoby szukać równie głębokiego zespolenia l i r y c z n e g o z tym światem, jak 13 strof dalszych Kasprowicza w omawianym poemacie. Jest to widziany od wewnątrz wiekowy wysiłek artystyczny i religijny starożytnego Rzymu oraz Włoch na polu cywilizacji. Kasprowicz pełen podziwu i entuzjazmu uwielbia w tych tworach ducha ludzkiego, kierowanego boską ręką „do wiecznego słońca“. Stojąc pokornie wsparty o filar świątyni, modlił się do Boga i do genjuszu ludzkiego. Płynęły przez jego duszę wiekowe dzieje sztuki, modlił się stuleciami nabożeństw, których pamięć została w kopułach świątyń. Przeżywał tutaj dzieje wykutych w marmurze rycerzy i surowych świętych w witrażach. Przeżywał czarem udzielającego się piękna przejasne Madonny, widma pokutnic, obrazy sądu, wizje zmartwychwstań. Dusza jego

Tych wszystkich uciech drogocenną czaszę,
Cyzelowaną w złocie, chyli do dna.

Wszystko to zwiastowanie człowieka, dążącego do Boga.

I ślubowania niewymowne czyni
I niewymowne szczęśliwości marzy.

Doznała ekstazy. Zdało się duszy, że idzie z procesją:

Panie, Panie!
Wesoła śpiewam przed Twą Świętą Arką!
Żadnego bólu szpon mnie nie dostanie
I żaden ciężar nie będzie mym barkom
Silnym zaciężki...

Z ołtarzów i ze ścian schodziły ku niej Madonny i Chrystus rękę ku niej wyciąga

I ona tym dreszczom
Cała się podda i wzniesioną głową,
Snać skamieniawszy w przezroczym zachwycie,
Jedną li widzi przestrzeń: nieśmiertelne życie [4]).

Nagle w tej wizji raju mignęła „sinawa smuga“ i zgasła, aby znów się ukazać. To wierzby dopominają się o swoje prawa. Wreszcie „czarna wstęga trzęsawisk tłumi i zabija światłość nadziemską“ i chwyta „w swoje zarośla wątłą duszę“.

Wreszcie: morze (Kasprowicz płynie do Anglji): „O niezgłębione, nieskończone morze!“ Przysłuchiwała się Dusza głosom morza, „kuląc się w sobie z lęku i zdumienia“. Ale kiedy w blaskach zachodu zobaczyła czary morza i „otwierała ku nim swe ramiona“, bo widziało jej się, że morze poniesie ją w dziedziny szczęścia, fale zerwały się „w dzikie tańce“ i z pomroku wychylił się—obraz wierzb...

Ten upostaciowany w wierzbach obraz kraju, jak motyw muzyczny, dobywa się coraz w symfonji uczuć bardzo złożonych, dostępnych człowiekowi dojrzałemu, który, zbywając się żądz, ogarnia miłością najszersze kręgi tworzenia ludzkiego. Serce poety porywają nadświaty, te, co duch w znakach genjuszu nadbudowuje nad przyrodą. Porywa go ten rozległy widok, rozwierany siłą genjuszu ludzkiego, tak, jak wielkie góry z lodowcami, albo żywioł morski; ale istnieje ciążenie do ziemi, które nie pozwala się zapomnieć — ciążenie do ziemi własnej.

Kasprowicz, odkrywca praw psychicznych, nie mógł uciec od siebie, od swojego ja ludzkiego; nie było w nim dla ekstaz drogi okrężnej; każda targnęła w końcu, jakby był na uwięzi, umocowaniem jego u ziemi. Czytając te strofy włoskie, podziwiamy żar uczuciowości poety; jak ogień w wielkich piecach nieci się tchem powietrza o wysokim wylocie, tak on płonie w oddechu wieczności, wyczuwanej metafizycznie. A wszystko, co w ten żar liryki wpadnie, topi się, jak kruszec w stan płynnej lawy. Łatwo wyrozumieć, jak mało myśleli o tem ci, którzy wymagali od Kasprowicza „listów z podróży“.

3. Były to wierzby, z których w dzieciństwie linił fujarki. Jakże daleko jest teraz od tego prymitywu muzyki! Zdumiewał świat organową potęgą swych piersi. I jak wysoko wzbił się ponad niziny kujawskie! Wzbił się wysoko i poszerzył horyzonty, a jednak duch jego, jak balon na uwięzi, trzymał się swoich pól. Ten czas, o którym mówimy, to był ten najwyższy poziom jego zrównoważonej ludzkiej egzystencji. Niepodobna przecież żyć stale na wysokościach, dokąd wybiegały hymny, ani w przepaściach rozpaczy. Wypadkowa pozycja, osiągnięta z ostrych przeciwstawności szczytu i przepaści, przypadła na poziom liryki refleksyjnej. Tutaj była przełęcz Kasprowicza.

Był u kresu dojrzałości duchowej i fizycznej. O tej dojrzałości duchowej daje świadectwo streszczony wyżej utwór liryczny. Zasługuje na uwagę to olśnienie poety, płynące z uświadomienia piękna, jakie przedstawia świat, tworzony z ducha człowieka dla ducha. Wstąpił na szczyty cywilizacji,

[4]) Kasprowicz „Dzieła“ (wyd. S. Kołaczkowskiego), XI str. 18 i n.

koronowane najwyższemi wzlotami ducha ludzkiego w sztuce i natchnieniach religijnych. Poczuł się w kulcie dzieł Boskich nieodosobniony. Skrajny egotyzm i indywidualizm z Oferusowego — jak nazywał — okresu, wplotły się w chóralny hymn dziejów ducha, idących procesją ku wyżynom. I radość go opanowała, że widzi ziszczane na ziemi „nieśmiertelne życie“. Dojrzałość duchowa objawia się w osiągnięciu syntetycznego stosunku: z jednej strony do świata nadprzyrodzonego i do przyrody, a z drugiej strony do świata tworzonego przez człowieka. Kasprowicza widziało się dotąd, jakby na świecie nie było nic, tylko on, przyroda i wszechność przez przyrodę wyczuwana; odbity od świata ludzkiego, któremu w młodości hołdował uczuciami społecznemi, wraca do człowieka zbiorowego, ale już jako współtwórca świata ludzkiego.

Najtrudniejszy to do zdobycia moment socjologiczny w sztuce: wyobraźnia współ-prometejstwa, przeniesienie egotyzmu z siebie, ze swego indywidualnego „ja“ na siebie, jako na Człowieka, który jest dziedzicem zbiorowych przeżyć, prac, cierpień i tęsknot. To się staje głównym motywem refleksyjności lirycznej, w której poeta sam siebie objektywizuje. Wtedy staje się on, nie jak był dotąd: organem swoich dziejów, lecz organem dziejów człowieka wogóle. Widzi i słyszy, że to, co on przeżył, przeżywają też inni, i nietylko dziś, ale od wieków; liryzm jego staje się jakby bezosobisty; płynie przezeń strumień piękności życia duchowego z przeżyć ludzkości. Stąd nowe formy artystyczne: liryka refleksyjna i balladowa.

I taka będzie dalsza twórczość Kasprowicza, w którą jednak nie będę tutaj się zagłębiał [5]). Chciałbym tylko ściśle w związku z r. 1905 pokazać moment przemiany, w jaki sposób poeta zrywał z przeszłością swoją, właściwie jak i dlaczego się przeobrażał.

4. Co do fizycznej dojrzałości. W badaniu twórczości Kasprowicza zbyt pobieżnie uwzględniona jest strona fizyczna jego psychiki, organizacja jego zmysłowa. Był to ustrój fizjologiczny niezmiernie bogaty w energję i wyjątkowo harmonijny. W jednem miejscu poruszony jakimś bodźcem wzruszał się po kolei wzystkiemi zmysłami, które się składały na pogłębianie fali, a dotarłszy do zmysłu ustrojowego, działały koncentrycznie na świadomość uczuciową; ta budziła jego poczucie moralne, wszystkie warty zasad, stojące na straży idej działania, cały aparat wyobraźni, zapalający wielkie zasoby pamięci: zmysły niezwykle wrażliwe w podstawie idealnie zbudowanego i zdrowego organizmu. Najbujniej w tym systemie działał zmysł rozrodczy. Jak on się budził, jakim prawom ulegał, na to mamy dokładną analizę, dokonaną w drodze introspekcji przez samego poetę w utworze „Przy szumie drzew“. Ten zmysł seksualny przewodził innym w czasach dojrzałości męskiej, on był żarem uczuciowości i żagwią wyobraźni i zawsze sprawiał, że zmysł ustrojowy (samopoczucie organiczne), dawał poecie w poruszeniu lirycznem centralną, syntetyczną podstawę jego świadomości uczuciowej i poetyckiej. Wyobraźnia poetycka Kasprowicza brała początek nie z wyobrażeń, nie z intelektu, który u wielu poetów naciera na system uczniowy tak, że on fosforyzuje, wywołując widziadła poetyckie; w Kasprowiczu płonął żywioł z głębokich podpaleń, — rzecby można: bezwiedny i mimowolny — dopokąd nie spełnił przeznaczenia, jakie mu dał artysta. Był poetą nie z umysłu i nie z woli, ale z tego, co go boli. Ten umysł i ta wola robiły jakby akces do faktu, w duszy już dokonanego — owego poetyckiego wzruszenia, które domaga się swego wyrazu i artystycznego utrwalenia. Świadomość, jako decyzja i organizatorka, stawała się w tym szeregu czynności psychicznych wolą artystyczną, która jednak zostaje w zależności od nieprzepartego musu organicznego. Kasprowicz artysta był w niewoli u Kasprowicza poety, jeżeli tak można oddzielić ustawienie poetyckie od wykonania. Postępowanie odwrotne, t. j. poczynania twórcze z nakazu, z podsunięcia tematu, to, co się nazywa literackiem traktowaniem pióra, było dla Kasprowicza uciążliwe, nawet było niemożliwością. Bez poruszenia uczuciowego i to centralnego, sięgającego w istotę moralną, aparat jego poetycki nie działał.

Było to rzadko spotykane w współczesnej hodowli ludzi zdrowie, harmonijnie zespalające żywot duchowy z fizycznym. Procesy w tym organizmie pomimo zaburzeń nie pozostawiały po sobie zniszczenia, nie miały charakteru chorobliwego, ani potrzebowały sztucznych podniet, były to przeżycia naturalne, procesy rodne, dla ducha zawsze ewolucyjne.

Kasprowicz, jako człowiek, w życiu zewnętrznym nie mógł niczem okazać, czem jest wewnątrz jako poeta (weźmy choćby listy jego). Ale przecież strona fizyczna jego życia była nam znana. Był to organizm dużych potrzeb zmysłowych, ale tak zdrowy, że sam sobie stawiał tamę, zwłaszcza w zakresie popędów erotycznych. Nie było w nich nic chorobliwego, były duże namiętności, ale też i duże siły, natomiast nie było śladu erotomanji, zboczeń wyobraźni, rodzącej fałszywe pożądania. Żadnego fałszu w nim nie było. Zgodność z naturą była w nim prawdą, której nie ukrywał. Tem się tłumaczy i w poezji otwartość jego wyznań, których nikt nie weźmie za dowód zepsucia (perwersji). Naturalizm, z jakim siebie traktował był właśnie czystością.

Organizm sam reagował na przesyt. Prawidłowa jego funkcjonalność była zasadą okresowości przeżyć psychicznych. Tak zaś uwrażliwione było to wnętrze i tak doskonała sygnalizacja na całej przestrzeni od zmysłów do świadomości, że myśl z łatwością budziła reakcje fizyczne charakteru idjosynkratycznego. Nieobojętna będzie w tym względzie notatka nawiasowa, że nie były mu obce zupełnie pierwotne odrazy w stosunku do rasy odległej. Przytaczał wielokrotnie fakty ze swego życia, że wystarczyło mu uprzytomnić sobie, że spożył jedzenie, sporządzone ręką mu niemiłą z powodu tej obcości, aby doznał torsji. A przecież z poglądów ogólnoludzkich i z obyczaju towarzyskiego różnic między ludźmi nie robił, łatwo z każdym obcował i przyjaźnił się. Organizm był i tu silniejszy od niego.

Stan duszy Kasprowicza w dacie r. 1905 robi wrażenie przełęczy, to znaczy tego miejsca w górskiej podróży, z którego człowiek ma widok w rozległych horyzontach na obie strony i na drogę już przebytą i na tę, którą widzi dalej, a nad sobą ma szczyty pustynne, karkołomne, nie dla człowieka.

ZYGMUNT WASILEWSKI

---

[5]) Bardzo gruntownie i przenikliwie opracował ten okres dr. Stefan Kołaczkowski w dziele: „Twórczość Jana Kasprowicza“. Kraków 1924. Ob. rozdziały IV, V i VI.

NA WIDOWNI

Powracający upiór dawnych sporów. — Różnica między Legjonem Zachodnim a Wschodnim. — Próba ujarzmienia prawdy historycznej. — Stanowisko młodego pokolenia.

JAK przestępca na miejsce popełnionego czynu, raz po raz uparcie powracają „sanatorzy" do przebrzmiałych — wydawałoby się — sporów „orjentacyjnych" z okresu wojny światowej. Właśnie oni, którzy niczego dobrze nie potrafili przewidzieć, których rachuby zawsze okazywały się zawodne, których polityka z fałszywych najzupełniej wypływała założeń, na nieuzasadnionych całkiem opierała się planach i nadziejach!...

W przemówieniu sejmowem dn. 7 b. m. poseł gen. Galica, w tonie namiętnym i podnieconym, odnowił spór z września r. 1914, kiedy to Legjon Wschodni, formowany we Lwowie pod kierownictwem politycznem obozu narodowego, w przeciwieństwie do organizowanego w Krakowie Legjonu Zachodniego, rozwiązał się, nie chcąc przyjąć narzucanego mu tekstu przysięgi, według roty austrjackiego pospolitego ruszenia. „Myśmy szli" — wołał gen. Galica — „walczyć w myśl wielkich naszych tradycyj z carem, wyście chcieli cara bronić..." Nie zawadzi więc przypomnienie kilku faktów historycznych, pozwalających dokładniej nieco uświadomić sobie powód owej różnicy zdań z przed lat piętnastu.

Dnia 27 sierpnia 1914 r. naczelny wódz armji austrjackiej, arcyksiąże Fryderyk, ogłosił rozkaz, określający, pod jakiemi warunkami Naczelna Komenda Armji („*Militäroberkommando*") wyraziła zgodę na utworzenie na czas wojny Legjonów Polskich. Oto niektóre z tych warunków:

„Każdy legjonista składa przy wstąpieniu przysięgę pospolitego ruszenia względnie przysięgę obrony krajowej... Oddziały nie mają sztandarów... Komendantów bataljonów i pułków mianuje Naczelna Komenda Armji na wniosek Komendanta Legjonów... Znajdujące się obecnie pod komendą Pana Piłsudskiego w Królestwie Polskiem oddziały strzelców pozostają pod jego rozkazami jako 1 pułk I Legjonu i podlegają komendzie grupy armji Kummera... Komendanci Legjonów działają wyłącznie według wskazówek Naczelnej Komendy Armji"...

W myśl tych warunków odbyło się dnia 5 września 1914 roku, na Targowicy zwanej Pocieszką w Kielcach, uroczyste złożenie przysięgi przez I pułk Legjonów, pozostający pod dowództwem komendanta Piłsudskiego. Oficjalna formuła przysięgi brzmiała jak następuje:

„W obliczu Boga Wszechmogącego przysięgamy uroczyście, że Jego Apostolskiej Mości naszemu Monarsze i Panu, Franciszkowi Józefowi I, z Bożej Łaski Cesarzowi Austrji, Królowi Czech, Królowi apostolskiemu Węgier wierność i posłuszeństwo zachowamy"...

Według relacji, zamieszczonej w nr. 2 „Dziennika Urzędowego", drukowanego w Kielcach dnia 10 września 1914 r., po przysiędze odbyła się defilada, podczas której kom. Piłsudski poprowadził pierwszy bataljon, poczem:

„Komendant Piłsudski wraz z gen. Baczyńskim i kap. Zagórskim wsiedli do automobilu, by odwiedzić naczelnika wojska pruskiego celem omówienia spraw urzędowych".

W odmienny sposób kształtowały się nastroje w Legjonie Wschodnim, podległym wpływom Sekcji Wschodniej Naczelnego Komitetu Narodowego, gdzie kierownicze stanowiska zajmowali przedstawiciele ugrupowań narodowych:

„...kiedy na bankiecie, wydanym na cześć drużyniackiego korpusu oficerskiego przez gminę Posady Olchowskiej, wzniesiono wobec austrjackiego komendanta załogi sanockiej okrzyk na cześć cesarza Franciszka Józefa I, jako „naszego najwyższego wodza"... zaległa zupełna cisza. Gdy natomiast później wstał Skarbek i złożył wszem wobec pierwszą deklarację Wydziału Wojskowego tej treści: „Mogę panów zapewnić, że Wydział Wojskowy, przydzielony przez najwyższą władzę: Naczelnego Komitetu Narodowego Sekcję Wschodnią, będzie czuwał i nie dopuści, byście prowadzili swych żołnierzy za inną sprawę, jak za sprawę polską", odpowiedziały radosne okrzyki wśród obecnych" [1]).

Okólnikiem z dnia 15 września 1914 r. poseł Skarbek zawiadomił urzędownie Komendę Legjonu Wschodniego o przytoczonych wyżej „warunkach utworzenia Legjonu, dodając przytem, że prezes N.N.K. (sekcja wschodnia) p. Tadeusz Cieński został upoważniony do starania o zmianę warunków w kierunku odpowiadającym bardziej naszym uczuciom i pragnieniom narodowym" [2]). Skoro zaś, jak zgóry przewidziano, zabiegi te nie odniosły żadnego skutku:

„... wystosował Wydział Wojskowy rozkaz do drużyn, w którym oświadcza, że ci wszyscy, którzy gotowi są nadal pozostać i godzą się na warunki, pod któremi złożył przysięgę c. k. legjon w Krakowie — gdyż takie było odtąd urzędowe jego miano — mają się do trzech dni zgłosić w komendzie, inni zaś mają zgłosić się do wydziału Wojskowego po przepustki i rozejść się.

Skutek rozkazu tego był łatwy do przewidzenia: na 5000 pozostałych jeszcze dotychczas w drużynach, zostało nazajutrz trzystu piędziesięciu" [3]).

Wydawałoby się, że w tych warunkach „piłsudczykom" najmniej zależeć powinno na powracaniu w dyskusjach publicznych do omawiania tych zdarzeń, na odświeżaniu wspomnień dawnych sporów i ponownem zagłębianiu się w ich przyczyny. Ze stanowiska logiki — jest to najzupełniej oczywiste. Ze stanowiska psychologicznego — rzecz przedstawia się zupełnie przeciwnie.

Z faktu, iż obóz „sanacyjny" nie posiada żadnego programu politycznego, zbyt uproszczony, a nawet nieco krzywdzący jest ów, często przecież wyprowadzany wniosek, że jedynym celem „sanacji" jest władza i utrzymanie się przy niej, jaknajtrwalsze i jaknajpełniejsze korzystanie ze związanych z nią udogodnień i przywilejów. Nie wytworzywszy żadnego programu na przyszłość, „sanatorzy" związani są silnym węzłem wspólnego poglądu na przeszłość niedawną, wspólnej, nie liczącej się z faktami objektywnemi, ale na uczuciu opartej oceny odegranej przez siebie roli, i tę właśnie ocenę pochlebną—nie wahając się przed użyciem żadnych środków—zdecydowali się społeczeństwu polskiemu narzucić.

---

[1]) Michał Pawlikowski. „Wczorajszy okop" Lwów 1920, str. 27 i nast. — Dzieje Legjonu.

[2]) Pismo wydziału Wojskowego N. K. N. (sekcji wschodniej) z dnia 20 września 1914 r.

[3]) M. Pawlikowski, tamże.

Zamach majowy, jakkolwiekby paradoksalne się to wydało, w znacznym stopniu przynajmniej był nie czem innem, jak próbą ustalenia w narodzie polskim — przez odwołanie się do argumentu siły fizycznej — pewnego określonego poglądu historycznego na wydarzenia ostatnich lat kilkunastu. Do jaknajusilniejszego wpajania w młodzież tego poglądu ogranicza się właściwie cała treść t. zw. „wychowania państwowego", którego p. minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego jest tak bezwzględnym rzecznikiem. Nie wypływa ono wyłącznie z pobudek utylitarnych czy taktycznych. Nieustanna propaganda „legendy", budowanie pomników i t.d., niekoniecznie ma za źródło jedyne cel praktyczny: utrwalenie się przy pomocy tych środków u władzy. Po to raczej sięgnięto po władzę, aby módz budować pomniki...

„Sanatorzy" korzystają z warunków chwili, ażeby jaknajczęściej, jaknajhałaśliwiej rozprawiać o kwestjach niedawnej przeszłości, pragną wymusić wyrok historji o swoich czynach, ogłoszony „na poczekaniu" a bezapelacyjnie, aby już raz na zawsze zagłuszyć wszelkie możliwe wątpliwości czy zastrzeżenia ze strony przyszłego badacza dziejów. Reakcja posłów z klubu B. B. na okrzyk pos. Kaweckiego (podczas mowy gen. Galicy) jest dowodem, jak nerwowo, z jak dalece chorobliwem podnieceniem i niepokojem wewnętrznym równocześnie, odnosi się obóz „sanacyjny" do powyższych zagadnień.

Dla wchodzących w życie pokoleń młodych, które w sporach „orjentacyjnych" czasu wojny światowej wogóle nie brały jeszcze udziału, nerwowość taka musi wydawać się czemś zupełnie obcem, niezrozumiałem. Słusznie bardzo mówił dn. 10 b. m. w sejmie poseł Zdzisław Stahl, że młode pokolenie dzisiejsze

„nie przyjęło... w dziedzictwie bezpośredniem tego głębokiego rozbicia i rozproszkowania politycznego, które związane było z epoką niewoli, ale przeciwnie, jednolite w swoich przekonaniach narodowych, zgodne jest w pojmowaniu naczelnych zagadnień bytu państwa".

Nie ponosząc odpowiedzialności za działania w latach 1914 — 1918, nie zmuszone ubarwiać ich ani usprawiedliwiać, może ono patrzeć na nie objektywnie, jak na zdarzenia historyczne, ma też możność oceniać je niemal równie rzeczowo i beznamiętnie, jak np. sprowadzenie przez Konrada Mazowieckiego zakonu Krzyżaków, albo też program polityczny Zygmunta III, dotyczący stosunków polsko-moskiewskich.

Nie posiada ono przeszkód wewnętrznych, psychicznych, utrudniających mu spostrzegać prawdę przedmiotową, z całkowitą rzetelnością intelektualną sądzić o niej i ją poznawać. A wobec tego nie na wiele zdadzą się i wszelkie przeszkody zewnętrzne, stawiane ze strony zainteresowanych. Czyż uchwała nawet „najtrwalszej" większości parlamentarnej może ustalić, że np. bitwa pod Cheroneją nie była klęską Aten, ale zwycięstwem, albo czy suma kątów w trójkącie przestanie równać się dwum kątom prostym, chociażby wszyscy nauczyciele szkolni pouczeni zostali specjalnym okólnikiem, że obowiązkiem ich jest — ze względu na interes „państwowy" — wykładać coś przeciwnego?

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

KŁAMCY

Wszelkie prądy żywotne, zmierzające ku odrodzeniu życia, cechuje idealizm. A ta wiara w możność osiągnięcia ideału wyraża się szukaniem prawdy, bo prawda — mówi o tem instynkt moralny — najkrótszą jest drogą do celu. Teraz nam prawią o jakimś prądzie odrodzenia przez uzdrowienie moralne. „Gazeta Polska" jest urzędowym tego hasła interpretatorem. Jakże społeczeństwo ma tej robocie wierzyć, kiedy cała owa „sanacja" jest organizowanym zamachem na Prawdę? To nie jest ideologja, to jest raczej m e n d o l o g j a (od *mendax* = kłamca). Do tego kłamstwo w najgorszym gatunku.

Kłamstwo bywa trojakie: 1) artystyczne, na którem nawet mądremu trudno się poznać, 2) kłamstwo mądrali, obliczone na głupiego, 3) kłamstwo głupca, które trafia na mądrych. „Sanacja" uprawia ten trzeci rodzaj. Bardzo mało ludzi zdobyła drugim sposobem, którym zaimponowała „rozumem"; przeważnie sympatycy udają naiwnych, bo im z tem dogodnie. Społeczeństwo nie jest tak idjotyczne, jak się zdaje uczestnikom spisku na Prawdę.

„Gazeta Polska" np. tak dalece należy do trzeciej kategorji mendologicznej, że nie zdaje sobie sprawy, jak jest śmieszna ze swoją pozą — wydaje się jej, że należy do pierwszej kategorji, przynajmniej do drugiej!

Żeby zniszczyć w opinji obóz narodowy, wymyślono tam bombę, napełnioną materjałem historycznym, jak im się zdawało wybuchowym. W Sejmie, a potem w swojej gazecie użyto takiego ekrazytu: W r. 1914 narodowcy nie pozwolili legjonowi wschodniemu ze Lwowa złączyć się z Piłsudskim, bo „chcieli bronić cara". Tamtego rosyjskiego cara.

Typowy przykład mendologji owej trzeciej klasy. Umysły od 20 lat conajmniej wysilone na kłamstwo, muszą być zaniedbane; nie wiedzą tego, że historja ustaliła już fakty i że całe społeczeństwo je zna. W r. 1914 legjon wschodni rozwiązany został, bo nie chciał składać przysięgi państwom centralnym. Odrazu się zorjentował w sytuacji. Legjon zachodni (Piłsudskiego) złożył wtedy przysięgę, ale w trzy lata potem tego pożałował — trochę późno — i również się rozwiązał. Czyż nie mądrzej było to zrobić na początku wojny?

Jakżeż taki materjał historyczny ma wybuchnąć?

Ba, gdyby mendologom rozum służył, nie uciekaliby się też do siły fizycznej, jako argumentu.

KRYZYS SZKOŁY ŚREDNIEJ W POLSCE

Szkoła średnia w Polsce przeżywa od lat kilku poważny kryzys, który stale się pogłębia. Wybuchnął ten kryzys dosyć niespodzianie, bo nawet dla ludzi zawodowo ze szkołą średnią związanych był prawie całkowicie nieoczekiwany.

Rzecz charakterystyczna, że szkoła średnia na ziemiach polskich przed wojną, tylu, co obecnie, zastrzeżeń nie budziła. W zaborze austrjackim gimnazjum naogół dobrze spełniało swoje zadanie; w zaborze pruskim i rosyjskim zarzucano gimnazjum tendencje antypolskie, ale zarówno program, jak poziom naukowy wychowanków powszechnie uznane były przez inteligentny ogół za wystarczające. Prywatna szkoła polska w zaborze rosyjskim, zorganizowana po 1905 r., pod każdym względem cieszyła się uznaniem, a porównanie przygotowania naukowego wychowanków tej szkoły z przygotowaniem młodzieży zagranicznej na uniwersytetach

zachodnio-europejskich wypadło na korzyść młodzieży polskiej.

Po zakończeniu wojny stan rzeczy uległ zasadniczej zmianie. Pierwsze głosy krytyki dały się słyszeć ze strony uczelni wyższych. Jeśli mię pamięć nie myli, to pierwsze publiczne oskarżenie szkoły średniej w Polsce wypowiedział znakomity profesor wszechnicy lwowskiej, dr. Kazimierz Twardowski. W artykule, zamieszczonym bodaj że w „Tygodniku Ilustrowanym", prof. Twardowski twierdził, że młodzież przychodzi do szkół wyższych nie przygotowana, że nie umie mówić, pisać z sensem, gramatycznie, nie zna historji, żadnego języka obcego, nie umie pracować, nie umie nawet korzystać ze słownika. Profesorowie politechniki stwierdzają, że uczniowie nie umieją udowodnić najprostszych twierdzeń geometrycznych, mają wielkie trudności w rozwiązywaniu nawet bardzo łatwych zagadnień rachunkowych, że mylą się przy dodawaniu, mnożeniu ułamków, nie mówiąc już o wyciąganiu pierwiastków kwadratowych. Nie znają też zasad fizyki, chemji, nie umieją rysować. Każdy z profesorów wyższych uczelni, zagadnięty w tej sprawie, cytuje dziesiątki wypadków wprost humorystycznej ignorancji słuchaczów uniwersytetu i to w zakresie zagadnień, stanowiących niewątpliwie podstawowy materjał, przerabiany w szkole średniej.

Nauczycielstwo szkół średnich także ze szkoły nie jest zadowolone. Profesorowie humaniści ze zgrozą stwierdzają, że młodzież bardzo mało czyta, nie interesuje się głębiej ani zagadnieniami literackiemi, ani historycznemi, jest dziwnie obojętna w stosunku do najbardziej zasadniczych zagadnień kultury polskiej. Na egzaminie dojrzałości stale, corocznie słyszy się niesłychane horrenda naukowe. Wystarczy przejrzeć choćby roczniki „Przeglądu Pedagogicznego", organu T. N. S. W., aby stwierdzić, że prawie w każdym numerze wyrażany tam jest niepokój o poziom intelektualny wychowanków dzisiejszych szkół średnich.

Bardzo żywe głosy niezadowolenia ze szkoły dochodzą także ze strony rodziców. Słyszy się tam przedewszystkiem narzekania na przeciążenie młodzieży, a pozatem na dziwaczne żądania szkoły. Zastrzec tu trzeba, że w opinji rodziców dziwactwem są wszelkie nowe poczynania metodyczne szkoły. To też można zgóry przewidzieć, że właśnie ta szkoła, która znajdzie u władz szkolnych uznanie za swe poczynania metodyczne, najostrzej będzie przez rodziców krytykowana. Jest również dla obecnych stosunków szkolnych w Polsce rzeczą charakterystyczną, że w wypadku niezadowolenia ucznia ze szkoły lub odwrotnie, rodzice prawie bez wyjątku biorą stronę dziecka, nie zastanawiając się głębiej nad istotą konfliktu, ani też nad skutkami własnego w tej sprawie stanowiska.

Niezadowolona jest także ze szkoły i młodzież. Uważa ona, że szkoła ma za duże wymagania, a zwłaszcza ciążą jej wszelkie postulaty nauczycieli, dotyczące porządku, ścisłości, dokładności, wszelkie wytykania niedbalstwa, czy to w wysławianiu się, czy w wykonaniu obowiązków. Nauka szkolna nie wzbudza w obecnem pokoleniu młodzieży głębszego zainteresowania. Nastawienie umysłowe naszej młodzieży skierowane jest raczej ku zagadnieniom techniki i sportu, a obce zagadnieniom literackim i historycznym. To też każdy uczeń klasy pierwszej bez błędu odpowie jakiej marki był samochód, który obok przejechał, a czwartoklasista wyliczy rekordy światowe, osiągnięte na ostatniej olimpjadzie, natomiast niewielu ośmioklasistów potrafi wykazać się lekturą, przekraczającą zakres ściśle określonych wymagań szkolnych.

Gdybyśmy przystąpili do zbadania przyczyn tego powszechnego niezadowolenia, to natknęlibyśmy się odrazu na dwie sprawy, stanowiące niewątpliwie najdrażliwsze zagadnienia naszego szkolnictwa, mianowicie zagadnienie programów szkolnych i przygotowania nauczycieli.

Nauczyciele starsi, z rutyną, wychwalają bez zastrzeżeń dawne programy przedwojenne, potępiają zaś również bez zastrzeżeń wszelkie zmiany programu, wyrażając się o nich uszczypliwie, jako o „nowinkach". Ponieważ najstarsze szkolnictwo polskie znajduje się na terenie dawnego zaboru austrjackiego, więc tam też znajduje się najwięcej nauczycieli tego typu i stamtąd też słychać najwięcej nawoływań do powrotu do dawnych programów, do nauczania łaciny od klasy pierwszej i do obowiązkowego nauczania greki. Zdaniem tych krytyków obniżenie poziomu szkoły jest skutkiem zaniedbania nauki filologji klasycznej.

Jeśli z zarzutów profesorów wyższych uczelni, dotyczących przygotowania naukowego młodzieży, wyciągnąć zawarte w nich częściowo przynajmniej konsekwencje, to należałoby dojść do przekonania, że programy szkolne trzeba zrewidować w tym kierunku, by cele materjalne nauczania silniej, niż obecnie, podkreślić, a co zatem idzie, cele formalne w mniejszym stopniu uwzględniać. Sprawa programów szkolnych, to niewątpliwie jedno z najważniejszych i najtrudniejszych zagadnień. Znaczenie jego ocenia doskonale nauczycielstwo i władze szkolne. W Min. i W.R. i O.P. pracuje nad programami grono poważnych specjalistów, skupione w wydziale programowym. Praca ta nie może być jednak dokonana pośpiesznie i wypadnie wobec tego na nowe programy czas jakiś jeszcze poczekać. Dziś już jednak można napewno powiedzieć, że nowe programy nie będą identyczne z przedwojennemi i że wychowańcy nowej szkoły będą mieli przygotowanie inne, niż ich rówieśnicy z przed wojny. I w tem niewątpliwie leży bardzo istotna różnica, niezawsze dostrzegana, nawet przez profesorów wyższych uczelni. Niejednokrotnie, obok słusznie zupełnie podkreślonych niedociągnięć, źródłem nieporozumienia między szkołą średnią a wyższą jest nietyle niższość, co odmienność przygotowania ucznia, w porównaniu z okresem ubiegłym.

Przechodząc do sprawy przygotowania nauczycieli, zaznaczyć trzeba, że jest to zagadnienie niepospolicie trudne i skomplikowane. Okres pierwszego dziesięciolecia niepodległości Polski odrodzonej, to okres niesłychanie bujnego rozwoju ilościowego szkolnictwa polskiego wogóle, a średniego w szczególności. Cały zabór pruski, całe kresy wschodnie, a w dużym stopniu i b. Królestwo mają szkolnictwo z gruntu nowe. Do szkół tych potrzeba było całej armji nauczycieli, których przecież wojna nie przygotowała. Te kadry nauczycielskie stworzono, a że wiele osób z pośród tego nowego nauczycielstwa nie posiada dostatecznego przygotowania do swego zawodu, to wina tylko warunków, w których tworzyła się nowa szkoła polska.

Jeśli dodamy do tego bardzo niskie w porównaniu z przedwojennem uposażenie nauczycieli szkół średnich, które zmusza do obarczania się

nadmierną ilością lekcyj, nie pozostawia czasu na pracę nad sobą, uniemożliwia nabycie książek etc., to otrzymamy obraz tłumaczący ten faktycznie szkodliwy stan rzeczy, że nauczyciel zbyt często jest nie przygotowany do pełnienia swych obowiązków i rzeczywiście często obniża poziom szkoły.

Zagadnienie kryzysu szkoły średniej w Polsce nie wyczerpuje się jednak sprawami programu i przygotowania fachowego nauczycieli. Jest to zagadnienie niewątpliwie szersze, a pozostaje w związku z doniosłemi zmianami psychiki całej Europy, wywołanemi przez wielką wojnę.

(Dok. n.) Z. F.

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Od r. 1929 wychodzi w Warszawie półrocznik *„Juventus Christiana"*, wydawany przez młodzież akademicką, zrzeszoną w stowarzyszeniu tejże nazwy. Stowarzyszenie to istnieje od 10 lat i stale się rozwija. W Warszawie istnieje 12 kół, które pod kierunkiem duchowieństwa (kierunek ogólny ks. E. Szwejnica) urządzają zebranie referatowe, serje odczytów, poza tem ogólne zebrania dyskusyjne na tematy z zakresu pracy społecznej. Jest to zjawisko w życiu młodzieży dawniej przed wojną nieznane i zasługujące na uwagę. O wysokim poziomie pracy myślowej tej młodzieży świadczy chlubnie wydawnictwo pomienione, którego zeszyt I z r. 1931 właśnie w lutym się ukazał. Zeszyt ten, w wytwornej szacie typograficznej wydany, zapełniły wyłącznie pióra kobiece: Z. T. Plisowska „Rozważania nad Ewangelją", J. Gohołowska „Dostojeństwo duszy ludzkiej w filozofji św. Augustyna", J. Jaśkiewiczówna — poemat, Jadwiga Lindner „Religijność Kochanowskiego", A. Ruckhaberówna „Beethoven", Irena Szperlówna „Św. Franciszek a radość życia". Szperlówna kończy słowami: „My, co mamy w duchu św. Franciszka nieść pomoc bliźnim, nieśmy ją w pogodzie i jasności ducha, siejmy dokoła radość, sami radośni"... Trzeba zaś podnieść, że młodzież nie tylko filozofuje, ale i działa. W łonie stow. *„Juventus"* od paru lat istnieje sekcja „Pomocy bliźniemu", licząca kilkuset członków. Roztacza ona opiekę nad rodzinami, niedolą dotkniętemi, prowadzi 5 świetlic, prowadzi pracę oświatową i t. d. Pisaliśmy w „Myśli Narodowej" obszerniej o tej działalności w nr. z 4 maja 1930 r. W ten sposób młodzież swemi poczciwemi i radosnemi wpływami rozgałęzia w społeczeństwie organizację serc, podnosząc kulturę uczuć społecznych i myśli religijnej. (Z. W.)

*

Jednym z najczynniejszych pracowników w dziedzinie literatury łowieckiej jest Józef Władysław Kobylański. Wielką wziętość zdobyły jego dwie monografje, dotyczące kłusownictwa, z których jedną opatrzył piękną przedmową ś. p. Juljan Ejsmond. Obecnie, jako przygotowanie do większej monografji o zwierzyńcach w dawnej i obecnej Polsce, p. Kobylański ogłosił szereg broszurek, poświęconych historji zwierzyńców w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Katowicach, a nawet i miejscowościach pomniejszych. Szczególnie ciekawą jest broszurka o bogatym zwierzyńcu w Milinowszczyźnie na kresach, zniszczonym doszczętnie przez wojska rosyjskie w czasie wojny. Dzięki energicznemu zbieraniu materjałów, częstokroć wręcz rewelacyjnych (zwierzyńce polskie w XVI wieku!) i rozsyłaniu kwestjonarjuszy do wszelkich instytucyj i osób, mających jakąkolwiek styczność z myśliwstwem, wspomniana monografja zbliża się do końca w szybkiem tempie. Prócz tych poważnych prac naukowych (których plon zużytkował Kobylański i w Encyklopedji, wydanej pod redakcją S. Lama), prócz kilku prac bibljograficznych, ma autor „Kłusownika" w swym dorobku literackim także i rzeczy lżejsze, beletrystyczne. Tu przedewszystkiem należy zbiór anegdot, dowcipów i żartów łowieckich, noszących tytuł „Humor i łacina myśliwska"; najczęstszym tematem tych fraszek są zabawne przygody różnych „Sonntagsjägrów" *(à la Tartarin de Tarascon)*, co to — wedle wyrażenia Sienkiewiczowskiego — „strzelają po łacinie". (J. B.)

*

Tomik poezyj „Śmiech w zieleni" (Dom Książki Polskiej, 1931) jest debjutem książkowym Ludwika Świeżawskiego. Autor posiada dużą zdolność budowania wiersza opartego na motywie radości życia; swobodnie rozmieszcza akcenty słuchowe i wrażeniowe, osiąga nawet pewien sukces. Brak mu jednak własnego wyrazu poetyckiego, nie sięga strun głębszych i nie wychodzi poza granice świadomych i nieświadomych reminiscencyj poetyckich. Nikłości wzruszeń nie okupują tak modne dzisiaj „walory formalne". Łatwość pisania i obrazowania oraz kultura literacka nie zawsze wychodzą na korzyść. W tym wypadku zabijają one skłonności i wrażliwość pisarza. (T. B. S.)

*

Książka Alaina Gerbault'a „W pogoni za słońcem", dziennik okrętowej podróży z New-Yorku do Tahiti, część I, w przekładzie Ludwika Szwykowskiego, wydana w Warszawie przez Główną Księgarnię Wojskową, nie jest zwykłą książką podróżniczą. Nie opisy przygód, ani spostrzeżenia obyczajowe i naukowe dotyczące morza, są istotną jej treścią. Autor, najśmielszy żeglarz naszej epoki, na drobnym jachcie żaglowym bez załogi, opływał świat. W pierwszej swej wyprawie, na tym samym miniaturowym żaglowcu, przepłynął Ocean Atlantycki. Żeglarz, filozof, poeta. W drogę, prócz fachowych studjów morskich i instrumentów potrzebnych do prowadzenia badań naukowych, wziął dzieła klasyków francuskich i Szekspira. W towarzystwie tych wielkich duchów, podczas bezsennych dni i nocy, czyta w otwartej księdze natury i wyczuwa Boga w przyrodzie. W czasie niebezpieczeństw, gdy zagląda śmierci w oczy, krzepi go myśl o ojczyźnie, o Francji. Opisy codziennych przeżyć tej jego ryzykownej eskapady jaśnieją rasowym, galickim humorem, niefrasobliwością, a imponują energią doprowadzenia powziętego zamiaru do celu. Dążył własną drogą, bez ludzi, wśród czarów egzotycznych krain. Nie tylko dla sensacji czy sportu, ale dla zdobycia wiadomości, niedostępnych zbiorowym ekspedycjom naukowym i handlowym. Oryginalność przedsięwzięcia, siła woli tego samotnego żeglarza i jego świetny, pełen prawdy styl pisarski, składają się na wartość tej niezwykłej książki.

Przekład p. Szwykowskiego, staranny i gładki, urozmaicają liczne ilustracje dalekich mórz i lądów. (A. W.)

*

Ernest Hemingway jest — obok W. Cathera, Hergesheimera, Andersona, Bromfielda, Fanny Hurst, i Mary Austin Cabell — jednym najlepszych współczesnych nowelistów amerykańskich. W tych dniach ukazała się w przekładzie polskim Zbigniewa Grabowskiego powieść Hemingway'a— „Pożegnanie z bronią" (Tow. wyd. „Rój"). Treścią powieści są przygody i przeżycia oficera Amerykanina na froncie włoskim i historja jego miłości do pielęgniarki angielskiej. Z głośnych t. zw. powieści wojennych (Remarque, Zweig, Markovits, Hasek, Barbusse i in.), książka Hemingway'a jest chyba najlepsza. Autor, nie powodowany żadną tendencją — opowiada o wojnie tak, jak ją widział. Nie przejaskrawia jej grozy żadnym zbytecznym ornamentem, lecz i nie zataja niczego. Z relacji tej wyrosło ciekawe studjum ludzkiej duszy. (T. B. S.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

O powieści francuskiej napisał żywą książkę (*„Le Roman Français"*) znany pisarz, współpracownik *„Le Temps"*, Pierre Mille. Szczerze i bez ogródek mówi tu autor o dawniejszych i współczesnych przedstawicielach powieści we Francji, nie oszczędzając przytem nieraz największych (Rousseau, Balzac, Stendhal, Flaubert, Zola, Maupassant, Anatol France, Barrès, Proust, Andrè Gide), nie mówiąc już o tych z ostatniej doby. Rzecz ta odznacza się oryginalnością poglądów oraz świetnością stylu. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

„Grafika" zeszyt I, rok I, zawiera artykuły: „od redakcji", Władysława Skoczylasa „Polskie drzeworyty ludowe", Stanisławy Sawickiej „Wit Stworz sztycharz", „Konkurs na plakat obchodu stulecia rocznicy Powstania Listopadowego" (sprawozdanie), T. Gronowskiego „Plakat", Romana Mathi „Druk ilustracyj jedno i wielobarwnych w gazetach", wiadomości fachowe oraz kronikę.

„Grafika" zeszyt II, rok I, zawiera artykuły: F. S. „Bibljoteka Ordynacji Krasińskich", T. Cieślewskiego (syna) „Drzeworyty Stefana Mrożewskiego", Inż. Aleksandra Tupalskiego i Fr. Siedleckiego „Znaczki pocztowe", „Konkurs na projekty etykiet do opakowań wyrobów tytoniowych" (sprawozdanie), „Okładka książkowa", dalszy ciąg artykułu R. Mathi i kronikę.

Czasopismo „Grafika" nie jest bynajmniej wydawnictwem świeżo powstałem. Wychodziło już i dawniej, niestety, mimo wysiłków i dobrej woli garstki ludzi, kilkakrotnie mu-

siało przerywać swój żywot. Jest to objawem dosyć smutnym i dowodzi, że z rozwojem naszej sztuki, a sztuk graficznych w szczególności, nie idzie w parze wzrost zainteresowania się niemi szerszych warstw społeczeństwa. Dlatego też będziemy się starali otoczyć pismo atmosferą życzliwości i nawołujemy do tego innych. Nie uwalnia to jednak bynajmniej od wydawania o „Grafice" sądu, raczej przeciwnie skłania do udzielenia wszelkich rad i wskazówek, jakieby, w miarę naszej możności, mogły się przyczynić do jej coraz to wyższego poziomu. Obecnie „Grafika" jest organem Związku Polskich Art.-Grafików (najwłaściwszy to dla niej opiekun) i Zrzeszenia Kierowników Zakładów Graf. Pismo, chociaż wydawane przez dwie instytucje, powinno w swym własnym interesie uświadomić sobie jaknajdobitniej, jakim mianowicie czytelnikom ma zamiar służyć. Zamieszczanie na tych samych łamach artykułów dla wszystkich potrosze, doprowadza wkońcu do tego, że pisma nie nabywa nikt. Artykuł F. S. o Bibljotece Krasińskich (Nr. 2), bardzo popularny w typie, nadaje się raczej do jakiegoś kurjerka. Natomiast praca p. Mathi powinna się znaleźć w czasopiśmie ściśle fachowem, przeznaczonem dla fotochemigrafów i tam mogłaby być jeszcze bardziej obszerna, tu zaś należało ją streścić, nie wychodząc poza ramy lapidarnego określenia istoty omawianej techniki. Pan Mathia jest w „Grafice" redaktorem działu technicznego: rozumiemy to w ten sposób, że chyba nie będzie sam wszystkich artykułów pisywał do swego działu, lecz poprosi o współpracę i innych fachowców.

W obu zeszytach „Grafiki" wyróżniają się artykuły Cieślewskiego syna, St. Sawickiej i prof. Skoczylasa. Na marginesie tego ostatniego pozwalamy sobie na parę uzupełnień. Prof. Skoczylas pisze: „W wieku XIX zaczęto używać do drzeworytu drzewa bukszpanowego, ciętego na sztorc..." Drzewa bukszpanowego używał już Holbein (XVI w.), ściślej mówiąc jego rytownicy. Wiemy o tem, gdyż zachowały się klocki drzeworytnicze z tych czasów. Czy to było drzewo sztorcowe, tego niestety teraz, z powodu braku pod ręką odnośnego dzieła, powiedzieć nie możemy.

Dalej czytamy: „Nożami były cięte drzeworyty XV wieku, stąd też pochodzi charakterystyczna dla nich ostrość kątów i sztywność linji".

XV wiek — to określenie dość pakowne; jeżeli chodzi o początek stulecia, sprawa ma się wprost przeciwnie; ksylografje z tego okresu pozbawione są wszelkiej kanciastości.

Na tem kończymy nasze uwagi, życząc „Grafice", aby spotkała się z jaknajwydatniejszem poparciem miłujących sztukę. (W. P.)

ZMARLI

Zmarł w Warszawie w 60-m roku życia nierozgłośny, ale wybitnego talentu poeta Władysław Nawrocki.

Całe życie z wyjątkiem kilku lat spędzonych zagranicą, mieszkał w rodzinnem mieście Warszawie. Mniej znany z poezyj oryginalnych, ceniony był jako tłumacz. Przełożył całego Heinego. Mnóstwo jego pracy, nieraz bardzo wartościowej, leży w tych przekładach po czasopismach. Zbiorowo nic nie wydał w książkach.

*

Jednocześnie zmarła w podeszłym wieku dziennikarka i tłumaczka powieści, Bronisława Neufoldówna, pozostawiając po sobie pamięć wytrwałej pracownicy i zacnej kobiety.

*

Z Rzymu otrzymaliśmy wiadomość, że w d. 9 stycznia rb. zmarła tam śp. Lucyna Łopacińska, wierna przyjaciółka, czytelniczka i współpracowniczka „Myśli Narodowej".

Urodzona w Łukowie na Podlasiu, całem sercem przed wojną łączyła się z ruchem narodowym. Wojna zaskoczyła ją we Włoszech, gdzie szukała poratowania zdrowia steranego w pracy nauczycielskiej. Nie mogąc się stamtąd wydobyć, osiadła w Rzymie wraz z p. Emilją Witkowską i A. Piasecką. Trawiła ją tęsknota za krajem, ciężkie warunki zarobkowania stargały zdrowie, a wiadomości z kraju, które gorączkowo śledziła, dobijały. „Umarła — piszą nam z najbliższego otoczenia — mając niedoczytaną Myśl Narodową obok siebie".

Nie zostawiła po sobie dzieł, ale piękno jej duszy będzie żyło, przekazywane wedle jej wzoru, a było arcydziełem kultury serca.

OFENSYWA

WYCIĄĆ, PRZECHOWAĆ W BIURKU I PRZECZYTAĆ ZA DWA LATA!

„Jeżeli armja ma walczyć pewnego dnia za ojczyznę, jest rzeczą konieczną, by żadnemu Włochowi na widok generała, oficera i żołnierza, nie nasuwało się wspomnienie prześladowania politycznego, i by wszyscy synowie wielkich Włoch mogli bez żalu i bez wysiłku połączyć się pod sztandarami, które tylko w takich warunkach prowadzą narody do zwycięstwa".

Benito Mussolini

W NR. 184-tym „Polski Zbrojnej" z dnia 8 lipca 1927 (a więc przeszło rok po „przełomie" majowym) wydrukowany był wstępny artykuł p. t. „Potworne", gdzie czytało się. co następuje:

„Nie wahamy się użyć tego właśnie wyrazu i nie wahamy się wcale oświetlić drobnego stosunkowo, ale jaskrawe rzucającego światło, zdarzenia na pierwszej stronie naszego pisma. Odcinek ulicy Brackiej od ul. Żórawiej do alej Jerozolimskich był wczoraj w południe świadkiem następującego zajścia: w ruchliwym tym, o tej porze dnia, punkcie stolicy do żebraczki, z płaczącem dzieckiem na ręku (czytelnicy nasi dobrze znają ten typ żebraczki), podeszła pewna młoda dama, żona jednego z naszych kolegów (nazwisko znane jest redakcji), pani K. Panią K., która zamierzała żebraczkę obdarzyć drobnem wsparciem, zastanowiło to, że płacząca dziecina miała jedno oczko przewiązane brudną szmatką. Zapytana w tej mierze „matka" nie umiała wyraźnie określić przyczyny nałożenia owego „opatrunku". Ale pani K., znana ze swej energji, poczęła nalegać. Im dłużej to trwało, tem bardziej poczęła się mieszać żebraczka. Tymczasem już zbierał się tłum, wreszcie zbliżył się posterunkowy. W tejże chwili jednak zniecierpliwiona pani K. zerwała z główki dziecka ów „opatrunek". I oto jego rodzaj. Pod szmatą, na przekrwionem, zapuchniętem i załzawionem oczku, umieszczono skorupę od orzecha włoskiego, a w niej dużego pająka. Pająk, zamknięty w skorupie, a przyłożony bezpośrednio do oczka wżerał się w nie widocznie od dłuższego czasu. Dziecina skarżyła się przeraźliwym głosem, cierpiąc w ten sposób może od szeregu dni. Ale o to przecież tylko chodziło: „matka" z płaczącem dzieckiem tem więcej wzbudzała litość i datki tem pewnie były obfitsze.

W jednem ze swych arcydzieł („Car Samozwaniec") p. Nowaczyński opisuje sławną na cały świat torturę chińską, owe słynne szczury, przyłożone pod rozpalonem naczyniem bezpośrednio do ciała torturowanej ofiary i wgryzające się w nie powoli. Gdy mowa o tem w „Carze Samozwańcu", dreszcz nas przechodzi, ale to działo się kiedyś w Chinach, do Rosji zawleczone zostało z niewolą tatarską w wiekach średnich!"...

„Jednem ze swych arcydzieł"! Tak pisała „Polska Zbrojna" jeszcze nie całe cztery lata temu. Tedy tych „arcydzieł" było widocznie kilka?

Taki patent na arcydzieła i to gdzie? W „Polsce Zbrojnej" dodaje człowiekowi poprostu nieco więcej odwagi i tupetu. Jeżeli nawet „Polska Zbrojna" tak się wyraża..., tedy ten, co pisze szereg arcydzieł (?) ma pewne chyba prawo zabierać głos w pewnych ważnych sprawach.

A taką sprawą jest tu bądź co bądź sprawa znanych „sprawców", których nazwiska my wszyscy dokładnie znamy, i którzy wcześniej czy poźniej, jeszcze za życia, przed trybunałem staną i ciężką karę poniosą, bo ponieść muszą, o ile to państwo istnieć będzie, a istnieć musi.

Otóż autora artykułu „Potworne" w „Polsce Zbrojnej" z r. 1927 dreszczem przejęła tortura chińska, stosowana w Rosji w czasach Iwanowych, na początku wieku XVII. Nie można się tedy dziwić, że dzisiaj, po kilkuset, ściślej po 300 latach „dreszcz nas przechodził", gdy czytaliśmy opisy pewnych okrucieństw... i miał stanowczo rację wielki i przewidujący *dux* narodu włoskiego, kiedy mówił:

„Jeżeli armja ma walczyć pewnego dnia za ojczyznę, jest rzeczą konieczną, by żadnemu Włochowi na widok generała, oficera lub żołnierza nie nasuwało się wspomnienie prześladowania politycznego"...

Pogląd taki sam zresztą miały nie tylko organy „Targowicy" endeckiej, Obwiepolu i Chjeny, ale także i organy ściśle związane z ideologją I-ej Brygady, dawniej, przy tych pierwszych precedensach, pierwszych próbach, prapoczątkach przeżywanej przez nas obecnie tragedji brzeskiej (czy łuckiej).

Po pamiętnym, nocnym napadzie na b. ministra Zdziechowskiego pisał „sanacyjny“, półurzędowy wówczas „Kurjer Polski“:

„Napad powyższy, tajemniczy i zagadkowy (władze do piątku wieczór nie były w stanie ustalić personaljów napastników) jest tragicznym, groźnym rezultatem ujmowania życia pod kątem zasady: żołnierzowi wszystko wolno! Wyrazicielem tej zasady był Trzmielewski, zabijający Lindego, Pawlikowski, kładący trupem szofera Stróżyka, obecnie szermierzami jej są nieznani napastnicy, którzy w skrytobójczej walce pobili do utraty przytomności t. zw. przeciwnika politycznego. Musimy podkreślić, że winę w całej aferze ponosi pewna przesadna buńczuczność naszych wojskowych, którzy uważają, że wolno im dokonywać samosądów, nie panować nad sobą, szukać na własną rękę zadośćuczynienia. Gdyby nie było tej przesadnej buńczuczności, którą nazwać by można wybujałą soldateską, nikt nie poważyłby się włamywać do mieszkania i dokonywać bandyckiego napadu, który zasługuje na bezwzględne potępienie i najsurowszą karę“.

Zaś inne pismo, oddane tejże samej ideologji, t.j. „Express Poranny“, tak pisał:

„Honor oficerski wymaga, aby zgłosili się sami do przełożonej władzy i ponieśli wszystkie konsekwencje swego haniebnego czynu. Jeśli tego sami nie uczynili, lub jeśli napastnikami były osoby cywilne, przebrane w wojskowe mundury, tembardziej energiczne musi być działanie władz wojskowych. W obronie honoru armji, dla uspokojenia przerażonej dzikością napadu ludności — sprawcy zamachu na posła Zdziechowskiego muszą być ujawnieni. Nie jest to trudne do uskutecznienia, skoro poseł Zdziechowski stwierdza, że wśród napastników znajdował się osobnik w muudurze kapitana żandarmerji. Oficerów tego rodzaju broni jest w Warszawie zaledwie dwudziestu... Społeczeństwo do głębi wstrząśnięte tym niebywałym objawem publicznego zdziczenia — żąda natychmiastowego zadośćuczynienia!“

Tymczasem atoli ani żądanego przez swoich własnych ludzi „zadośćuczynienia“ („Express“), ani też „najsurowszej kary“ („Kurjer Polski“) nie doczekaliśmy się ani wtedy, ani później, po całym szeregu napadów skrytobójczych przez „nieznanych sprawców“ aranżowanych i wykonywanych. I dzięki temu powoli, systematycznie, ale nagminnie zaczęła się w społeczeństwie wytwarzać ta psychoza biernego okrucieństwa, t. j. zobojętnienia, znieczulenia na objawy okrucieństwa, bestjalizmu, sadyzmu, dręczenia, katowania, zamęczania, torturowania. Podobnie jak w Chicago spokojnie sobie ludność czyta w szmatach drukowanych o nowych wyczynach, wypadach i przebojach Al Capone'a i jego *bootleger*'ów, podobnie, jak swego czasu, po wojnie w Niemczech, na krótko oswojono się z tak zwanym *„Fehngerichtami“* (było ich 250!), tak i u nas w szerokich warstwach ludności przyszło jakieś stępienie, jakieś zobojętnienie, a t a r a k s j a na nietylko to, co „potworne“ się działo, ale i na to, co najpotworniejsze. Aż wreszcie doszło do takiego np. faktu, pozornie drobnego, ale jakże „p o t w o r n e g o“, gdyby go opisał np. Tołstoj lub Anatol France, przekazanego drukiem znów przez... „Polskę Zbrojną“ z dn. 20 czerwca 1929 roku, w notatce kronikarskiej:

„Wczoraj, o godz. 10 rano wszedł do wozu tramwajowego „18“ młody człowiek w bluzie robotniczej, bez nogi, wsparty na szczudle. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Daremnie kaleka spoglądał po współjadących, twarze wszystkich były obojętne i wrogie, nikomu na myśl nie przychodziło wstać i zrobić miejsce inwalidzie. Młodzi, zdrowi chłopcy, kilku w akademickich czapkach na głowie. Poprawiali się jeszcze wygodniej na swych ławeczkach. A pasażer bez nogi stał uczepiony kurczowo rzemienia do trzymania. Siłą podparty; gwałtowne wstrząsy wozu rzucały nim to w prawo, to w lewo. Nie tak łatwo bowiem utrzymać równowagę w pędzącym tramwaju na jednej nodze! Na twarzy jego, niedostatkiem wymizerowanej, panowało śmiertelne zmęczenie, pot strużkami ściekał z bladego czoła. Trwało to dłuższą chwilę. Wreszcie z miejsca pod oknem wstał z trudem człowiek z laską w ręku, też inwalida bez nogi, ale zaopatrzony w protezę i wyrzekł z goryczą: „Niech pan siada. Chociaż też nie mam nogi, ale łatwiej mi postać w protezie, niż tym młodym, kwitnącym zdrowiem ludziom o 2 nogach. Publiczność polska i tak panu nie zrobi miejsca“.

W ten sposób więc t y l k o inwalida pomógł inwalidzie. Ludność zdrowa ani drgnęła; chowana i edukowana moralnie w atmosferze obojętności i bezkarności na okrucieństwa, na to, co p o t w o r n e, patrzyła obojętnemi, szklanemi gałami ocznemi na tę Goyowską scenę, na to straszliwe osamotnienie, na tę izolację uczuciową dwóch inwalidów, wojskowych, wojennych inwalidów.

Otóż teraz trzeba się zastanowić nad tem, czy jest jakaś łączność między temi postulatami moralnemi społeczeństwa, wyrażonemi nawet przez organa takie, jak „Kurjer Polski“... jak „Expressy“, nie mówiąc już o opozycji („Targowicy“).. a między tą... p o t w o r n o ś c i ą opisaną w „Polsce Zbrojnej“...

Twierdzę, że jest.

Ponieważ zaś studjuję przygotowania wojenne Rosji i Niemiec, ponieważ dużo nadowiadywałem się i pouczyłem się o tych p o t w o r n i e okrutnych, nowych, technicznych i chemicznych środkach walki, zniszczenia i zagłady, przeto całkiem poważnie i prognostycznie ja, któremu Polska Zbrojna! z 8 L. 1927 r. w nr. 184 przyznała autorstwo kilku „arcydzieł“ (?)... ze względu na dobro tej Polski Zbrojnej, uzbrojonej, wojskowej, wojennej, którą kochać powinniśmy w tragicznych warunkach geopolitycznych dosłownie p o n a d w s z y s t k o, przypominam tu dzisiaj mojem zdaniem cytat najważniejszy, najaktualniejszy tj. B. Mussoliniego:

„Jeżeli armja ma walczyć pewnego dnia za Ojczyznę. jest rzeczą konieczną,

by żadnemu Włochowi na widok generała, oficera i żołnierza nie nasuwało się wspomnienie prześladowania politycznego...

i by wszyscy synowie wielkiej Italji mogli bez żalu i bez wysiłku połączyć się pod sztandarami, które

t y l k o w t a k i c h w a r u n k a c h p r o w a d z ą n a r o d y d o z w y c i ę s t w a“.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Jakaś wielka widocznie figura, Henryk Ułaszyn z uniw. poznańskiego, rozbija się w prasie ze swoją „enuncjacją“ w sprawie Brześcia. Napisał okrągło 100 wierszy = 3.600 liter na to, żeby oznajmić, że gdyby w Brześciu działy się rzeczy nieetyczne... to one byłyby nieetyczne. Ale on nie wie dotychczas, czy to, co się publikuje, jest prawdą.

Niezbyt widocznie samodzielny umysł ten p. Ułaszyn, i dziwny uczony, według niego bowiem Prawdę poznać może jedynie Sąd. „Trzeba to wszystko o d c z e k a ć“, czy „fakty w i n n e być napiętnowane“. Taki profesor sam nie umie szukać Prawdy, nie umie pisać po polsku, ale na polityce zna się, jak mało kto. Co za subtelność:

„Dla czego — powiada — nie dołączam się do pisma moich kolegów, profesorów uniw. poznańskiego?.. Łączyć się mogę z k a ż d y m, z wyjątkiem jednakowoż tych... Program i działalność Narodowej Demokracji charakteryzują dwa rysy zasadnicze: imperjalistyczny n a c j o n a l i z m, oraz notoryczne (?) używanie religji, w danym wypadku (?) k a t o l i c y z m u jako środka politycznego. I jedno i drugie zaliczam do zjawisk n i e e t y c z n y c h, demoralizujących społeczeństwo i niebezpiecznych dla naszego Państwa“ („Przełom“ nr. 6).

Tutaj — patrzcie państwo — jaki biegły! Tu wie, gdzie jest Prawda „notoryczna“, bo opiera się na wskazaniu Sądu masonerji; tu już wie, co myśleć. „Z k a ż d y m“ się połączy, ale nie z narodowcem i katolikiem! Poniewiera się to między BB i „Kurjerem Porannym“, gdzie mu „enuncjacji“ nie drukują, robi afronty zacnym kolegom, bo tak bardzo już subtelny etycznie. Ale co o Brześciu sądzić ma, dotychczas nie wie. Niechże „odczeka“. Ot — figura!

*

Malkontentom, których nie zadowala obecna era radosnej twórczości w Polsce, godzi się zwrócić uwagę na nową gwiazdę w sanacyjnej plejadzie. p. posła Galicę, który oprócz zdolności wojskowych i politycznych, ma też zasługi naukowe i literackie. Ujawnił je np. w Busku 1927 r. podczas sprowadzania zwłok Słowackiego do kraju. Dyrekcja Zakładu urządziła z tego powodu obchód. O prelekcję proszono profesora jednej z naszych wszechnic, który naonczas bawił w Busku, a o którego pracy o jednym z utworów Słowackiego właśnie, pisał Jan Gwalbert Pawlikowski, że jest ona „nader cenną i jedną z najciekawszych w dziedzinie prac o Słowackim“, oraz „tak poważną, że stanowi na drodze studjów nad tym utworem kamień węgielny“. Jednak w ostatniej chwili dyrektor Zakładu zdrojowego był zmuszony przeprosić owego profesora i odwołać jego odczyt, gdyż... generał Galica, bawiący też wówczas w Busku, zapragnął (może dlatego, że podczas obchodu miała przygrywać orkiestra w o j s k o w a), by, zamiast tamtego, — jego odczyt był odczytany *coram populo*.

To też i do gen. Galicy można i trzeba zastosować owe słowa Puszkina o Piotrze Wielkim: „to akademik, to gieroj, to moreplawatiel, to płotnik“, określenie, tak pospolite w zastosowaniu do sanacyjnych genjuszów.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.